Bezpłatny dodatek do Nr. 101 „Głosu Narodu“.

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr. 2. Kraków, sobota dnia 11-go kwietnia 1936 r.

Ign. CHRZANOWSKI.

Zmartwychwstanie Polski w dramacie Słowackiego „Beniowski“.

Autograf tego dramatu, albo raczej fragmentów dramatycznych, znaleziono dopiero w spuściźnie po Antonim Małeckim; w całości wydał je dopiero Kleiner w tomie dziesiątym „Dzieł wszystkich“ Słowackiego, wydawanych we Lwowie przez Ossolineum.

Tym fragmentom, chociaż na ich podstawie całość dramatu odtworzyć się nie da, przypada w rozwoju twórczości Słowackiego niezmiernie ważna rola, otwierają one bowiem nową epokę w jego poezji patrjotycznej. Wprawdzie surowym sędzią przeszłości narodowej poeta być nie przestał, ale w świetlaną przyszłość Polski już zaczyna wierzyć.

POLSKA ZMARTWYCHWSTANIE.

W akcie drugim ukazuje się na ziemi polskiej Chrystus i przepowiada Jerozolimie słowiańskiej, to jest Polsce, upadek, ściśle związany z jej ciężką winą: „Dlaczegoście wy, mury, nie szły na południe? — Dlaczegoście wy, wieże, nie szły z krzyżami na głowach, mówiąc: ...Chrystus! Chrystus!... Stałyście na miejscu — jako morze bez fali.:. zasypiałyście jako trumny ołowiane; gdzie była praca i kuźnia nowych myśli... nie było was“.

Oto ciężki grzech Polski: nie było jej w wyprawach krzyżowych, nie szła z postępem czasu, nie dotrzymywała kroku innym narodom. Nie dosyć na .tem: „Zasypiałyście jako trumny ołowiane“. Tak, kiedy Europa zachodnia wzmacniała władzę monarchiczną, Polska XVI wieku szła — przez demokrację szlachecką — ku anarchji. A w wieku XVII, kiedy na Zachodzie filozofja i nauki święcą niebywałe przedtem triumfy, Polska się pod względem umysłowym cofa. Ocknęła się w wieku XVIII, ale na ratunek było już za późno.

Lecz dalej mówi Chrystus: „Podniosę rękę nad tobą — lecz nie potępię; — albowiem będziesz ty ukrzyżowaną w dzieciach twoich i położoną w grób przez dzieci twoje, i zmartwychwstaniesz przez dzieci twoje... Przyszedłem w nocy cichej — z Matką moją, abym cię pożegnał idącą do mogiły — przyjdę w noc piorunową, abym cię widział zmartwychwstającą... i powitał“...

Wtem z mogiły Wandy slychać głos: „Leżę w helmie u nóg mego Pana: — Niech mnie wskrzesi w pancernej odzieży! — Na mym hełmie z gwiazd girlanda różana, — A krzyżowy miecz podemną leży. — Niech mię wskrzesi — ja piękna i młoda... Niech mię wskrzesi — niech rękę mi poda“... Słysząc ten glos, Najświętsza Panna błaga Chrystusa: „Panie mój, azaliż Ty nie możesz wziąć tej dzieweczki za rękę i podnieść z grobu?“

Naprawdę, że gdyby z całego dramatu o Beniowskim ocalała ta jedna jedyna scena, byłby on niezmiernie cennym dokumentem do historji patrjotyzmu Słowackie: ten sam poeta i ten sam człowiek, który niedawno jeszcze miotał tak straszliwe pioruny na Polskę w „Grobie Agamemnona“, teraz mówi o niej jeszcze „srogi, lecz bez gniewu“, i wierzy, że pomimo swoich win Polska zmartwych stanie, bo na to zasługuje.

KUSZENIE SZATANA.

Lecz w jakimże stosunku z tą wiarą pozostaje akcja dramatu i postać jego bohatera? Odpowiedź brzmi: Beniowski walczył w Konfederacji Barskiej, a tę poczytywał Słowacki za pierwszy akt walki narodu polskiego o wol ność. Oto co czytamy w pierwszym fragmencie końcowej parabazy: „Jednego wieczora, — Gdy Beniowski w samotnej zamknięty komnacie — Dumał... a przez tęczowe się szyby cisnęło — Rozpromienione słońce... nad lasem bukowym — Stanęła przed nim matka umarła — w czamarze — Atłasowej... i rzekła boleśnie: ...Mój synu! — Czemu ty próżnym myślom oddałeś się cały, — Wtenczas kiedy Ojczyzna — już bliska skonania, — A jam jest nie zemszczona?...“

Ale cóż, kiedy — z woli samego Chrystusa — kusi Beniowskiego szatan! „Dozwoliłem — mówi Chrystus do świętego Piotra — aby człowiek oddany był na pokuszenie i sprobowany w ogniu... stało się“. A na słowa świętego Piotra: „Pozwól, że mu zajdę drogę... i ukażę się na polu odkrytem“, Chrystus odpowiada: „Jeszcze nie czas“. Przypomina się mimowoli Faust Goethego. Lecz zachodzi pomiędzy Faustem a Beniowskim wielka różnica: Faust jest człowiekiem, zajętym jedynie sprawami własnemi, jakkolwiek, (zrazu przynajmniej), póki go szatan na złą drogę nie wprowadził, posiadającemi rzetelną wartość moralną, bo sprawami swego intelektu, dążącego do poznania najgłębszych tajemnic świata; Beniowski zrazu tylko, jak to widać z parabazy, „próżnym myślom oddał się cały“, od czasu zaś, kiedy stanęła przed nim Matka-ojczyzna, jest patrjotą. To jedno. Po drugie, Faust jest myślicielem, Beniowski — poetą, i to od samego początku dramatu, od pierwszej sceny pierwszego aktu. Szatan-Pamfilus pokazuje mu zdaleka pole bitwy — i na to pole Beniowski patrzy jako poeta: „Przecudny widok — dymu tumany — Jako tumany jesienne lecą — Szable złotemi listkami świecą... Wiatr obłąkany — Jakieś harf tony — w stronę unosi... O jak czarownie śmiertelny śpiż — Bucha i wyje... I błyskawicą — Zamiata ziemię — i wszerz i wzdłuż — Dymy się zdają duchów przyłbicą — A dalsze dymy do białych róż — Podobne — z ziemi krwawej wychodzą“.

WALKA ZA OJCZYZNĘ.

Otóż tego zachwytu Beniowskiego nad bitwą Pamfilus się boi! Dlaczego? żeby Beniowski sam nie rzucił się do walki za Polskę, to znaczy za bożą, chrystusową sprawę. Więc rozwiewa Pamfilus ten zachwyt poetycki Beniowskiego, zwracając jego uwagę na straszliwą rzeczywistość bitwy: „Czy słyszysz jęki?... Patrz, tam się z ziemi rumak podnosi — Lecz wstać nie może... Złamany ma krzyż“. Niedosyć na tem: odciąga Beniowskiego Pamfilus od walczącej Księżniczki, żeby ona nie wciągnęła go swoim przykładem w wir bitwy, trafiając do jego nerwu poezji. Usiłuje natomiast Szatan rozdmuchać jeszcze w Beniowskim iskrę poetycką, byleby tylko ona go nie podniecila do czynu patrjotycznego. Oto dlaczego, kiedy Beniowski rozmawia z obdartym chłopem białoruskim, który w jego oczach nie jest, w porównaniu z Księżniczką, „nawet człowiekiem“, Pamfilus mówi: „O jakże ty daleko epoki wielkich gawęd, która nadejdzie!... nie gardź mitologją chłopa... ...ja ci powiadam, że gdyby Homer z harfą złotą stał na twojem miejscu, stroiłby teraz pieśni narzędzie i słuchał, co ten niedźwiedź zarosły włosami opowie“. I wypytuje Pamfilus chłopa o chłopską mitologję, ażeby jej poezją olśnić wyobraźnię Beniowskiego. To się Szatanowi udaje, więc z radością mówi do swej ofiary: „Rafaelowskich pełny jesteś rysów — Dobrze, zakochaj się w marach, co błyszczą, — Takie miłoście żywota nie niszczą“.

Prowadzi Pamfilus dalej swoją szatańską robotę. Beniowski-poeta widzi jakąś postać przed sobą: „Cóż to za mara? Prześliczna!“ A Pamfilus na to: „Rzuć — to muza romantyczna“. Lecz Beniowski nie rzuca — i nadal się zachwyca swoją wizją: „Cudna! z tęczową koroną, — Z twarzą dziecinnych aniołków; — Od niej leci woń fijołków — I zapach wiośnia ny miły, — Za nią krzyże i mogiły“. Nietrudno zrozumieć, co to za wizja: Beniowski widzi tę samą krainę, w której Irydion miał odbyć pokutę, widzi „ziemię mogił i krzyżów“. Pamfilus boi się jego zachwytu i dlatego mówi ironicznie, że to „krzyże i mogiły samobójców“; dodaje: „Powiem ci pod sekretem, że ta piękna nimfa ma suchoty“. I mówi jeszcze: „Przeklnij to piekło narodów, które się nie skończyły — i chodź dalej; pokażę ci kuźnię — przyszłości... Tam zobaczysz, czy człowiek winien się opierać w Termopilach... — i będziesz mógł przysiąc — albo odprzysiąc się...“

Ach, jakże te słowa są do dziś dnia aktualne — w ustach wszelkiego rodzaju szczerych zarówno, jak obłudnych kosmopolitów i komunistów, pomstujących na „piekło narodów“, bo nie rozumiejących albo też udających, że nie rozumieją, iż jedynie przez „piekło narodów“, przez patrjotyzm i nacjonalizm prowadzi droga do ideału ogólnoludzkiego. Niedarmo trud odciągania Beniowskiego od walki za ojczyznę i wogóle od miłości ojczyzny powierzył Słowacki nie człowiekowi, tylko... djabłu!

SYMBOL.

Lecz pomimo tej szatańskiej roboty w duszy Beniowskiego uczucia patrjotyczne rosną. W akcie drugim, kiedy Beniowski wstępuje na mogiłę Wandy, mogiłę, z której na rozkaz Chrystusa siedem lilij wyrosło, Pamfilus poucza go, że naiwne piosenki, które śpiewa zbliżający się Krakowiak, to wspaniały materjał do poezji artystycznej.

Wszystko to nadarmo: w akcie trzecim ukazuje się ksiądz Marek i wciąga Beniowskiego do Konfederacji —, ku wściekłości Szatana, którą jeszcze potęguje widok przechodzącego przez ziemię polską Chrystusa. „Czy widziałaś Chrystusa? — pyta Pamfilus Walkirji — Włóczy się przez ciemnotę — I sieje gwiazdy złote — Z Pelejad i Syrjusa... Jak chłop... w kraj przeorany... Sieje gwiazdy w kurhany“.

Dokończenie na st. 2.

JÓZEF BIRKENMAJER.

Emeryci.

Pod drzewem tem spróchniałem, które grom rozłupał,
które nową zielenią już się nie odchwyci,
siedzieli, na wiosenny oczekując upał,
dwaj zgrzybiali, zziębnięci starzy emeryci.

Park wokoło nich gadał, jak wielka rozgłośnia,
głosem ptasiego swaru, wietrznego szelestu,
ogłaszając im przyjście jasnego przedwiośnia,
którego nie widzieli już od lat czterdziestu.

Wiosna, dla której widok tych ludzi był obcy,
uśmiechała się do nich — dziwnie jak Gioconda,
A oni się z niej śmiali, jak swawolni chłopcy,
bo dawno zapomnieli, jak wiosna wygląda.

Słuchając gaworzenia sikorek i trznadli,
sami jakby dwa wróble ćwierkali w zachwycie.
Spłowiałe kapelusze na ławce pokładli,
jakby głowy odkryli na wiosny przybycie.

Tu i ówdzie włos siwy pośród włosów szarych
przebłyskiwał, podobny do tych białych nici,
co gęsto wyłaziły z palt wiotkich i starych,
jakie mieli na sobie obaj emeryci.

Z głów starych, omotanych taką siwą przędzą,
obaj snuli bezbarwne wspomnień swoich pasma.
Wiatr drwiąco podsłuchiwał, jak oni gawędzą,
a nieraz im przerywał kaszel albo astma.

Nudne i monotonne były to powieści;
możnaby je w dwa zdania ująć znakomicie:
obaj w biurze służyli długich lat czterdzieści,
aż przesłużyli wkońcu — całe swoje życie...

Cicho ono płynęło — jak niewielki ponik...
Lecz oni — w kartach wielkiej rachunkowej księgi —
dzień po dniu notowali, jak na kartach kronik,
dzieje swoich codziennych znojów i mitręgi.

Wiosną, latem i zimą, w jesienne szarugi,
jakby wołami w orce, tak nimi robiono,
Wreszcie — w dowód uznania za wierne zasługi —
pozwolono im odejść na trawkę zieloną.

Ponieważ należało im się coś od świata
za dziesięć pracowitych, żmudnych czteroleci,
odmłodzono ich wkońcu — bo na stare lata
mogą spokojnie bawić się jak dzieci...

O młodych ciężkich latach, o starczej swobodzie
dumał i gwarzył jeden i drugi emeryt...
A słońca wielka kula lśniła na zachodzie —
rumiana i złocista, jak jabłko Hesperyd.

ZYGMUNT LASOCKI.

„Polski Słownik Biograficzny“ o Bilińskim i Bobrzyńskim.

Marcowy zeszyt „Słownika Biograficznego“ zawiera biografje dwóch mężów stanu, którzy u schyłku XIX-go wieku, a zwłaszcza w pierwszych kilkunastu latach bieżącego stulecia odegrali wielką rolę w dziejach b. Galicji — Leona Milińskiego i Michała Bobrzyńskiego. Życiorys Bobrzyńskiego ułożył prof. Estreicher, przyjaciel polityczny i — o ile mi wiadomo — także i osobisty tego wybitnego przywódcy konserwatystów krakowskich. Z umiłowaniem opisuje jego dzieje, uwypukla jego zalety i zasługi, nie uznaje cieni lub błędów. Autorem drugiej biografji jest b. minister prof. Głąbiński, członek stronnictwa, które przez długie lata zwalczało Bilińskiego. Stara się on jednak o zachowanie zupełnej bezstronności. Występuje m. in. przeciwko niesprawiedliwie podnoszonemu przeciwko niemu zarzutowi, jakoby czuł się raczej Niemcem, niż Polakiem i stwierdza, iż Biliński był szczerym patrjotą polskim. Zrozumiałem jednak jest, iż życiorys ułożony przez lojalnego przeciwnika politycznego wypada mniej korzystnie dla Bilińskiego, aniżeli biografja Bobrzyńskiego, napisana przez przyjaciela.

Czasy, w których Biliński i Bobrzyński wybili się na pierwszy plan polityki polskiej w zaborze austrjackim, są nam jeszcze za bliskie, — spory polityczne, w których brali udział, jeszcze nie przebrzmiały, — wiele źródeł, na podstawie których możnaby działalność ich ocenić i osądzić, jest jeszcze nieznanych lub niedostępnych dla badań naukowych. To też — pomimo, że autorami ich biografji są dwaj bardzo poważni uczeni, znający dokładnie ówczesne stosunki — sczasem przyjdzie jednak niejeden szczegół w ich życiorysie uzupełnić lub sprostować. Uczynię to już obecnie w sprawie działalności Bilińskiego, jako prezesa Koła Polskiego w Wiedniu, na rzecz ofiar wojny, o której to działalności wzmianki w jego biografji nie spotykam. Sięgnę pamięcią do pierwszych miesięcy wojny:

Setki tysięcy mieszkańców Galicji, bądź to uciekając przed Rosjanami, bądź też ewakuowanych przymusowo przez wojska austrjackie, szukało schronienia w zachodnich krajach austrjackich, nie dotkniętych klęską wojny. Tam cierpieli nędzę i poniewierkę. Zwłaszcza los tych, których władze austrjackie umieściły w obozach barakowych dla uchodźców, był nader ciężki. A przeszło przez te obozy więcej, jak 100 tysięcy Polaków. Szczególnie haniebne były stosunki w obozie choceńskim, w Czechach, a śmiertelność wśród uchodźców, zwłaszcza dzieci, zastraszająca: na około 80 tysięcy uchodźców, którzy przebywali dłużej lub krócej w tym obozie, umarło przeszło 4700. Straszniejszą jeszcze była dola tych „podejrzanych politycznie“, zwykle ludzi Bogu ducha winnych — którzy uniknawszy kuli lub stryczka na terenie walk, dostali się do obozów dla internowanych. Dla ilustracji podam fakt, iż w jednym z tych obozów — coprawda najgorszym — w osławionym Thalerhofie, w Styrji, na około 6800 internowanych zginęło w ciągu kilku miesięcy przeszło dwa tysiące osób, przeważnie na tyfus plamisty: wynik głodu i brudu. Byli jednak i tacy, których żołdacy, pełniący straż w obozie, zamordowali — bez żadnej przyczyny. Polacy stanowili tam tylko znikomą stosunkowo mniejszość — niewiele ponad 500 — obóz jednak nazwano obozem dla zdrajców polskich, „Polnische Verträter“. Po różnych starych zamczyskach i obozach (najgorszy w Steinklamm w Dolnej Austrji), przebywały tysiące internowanych Królewiaków, wśród nich wielu włościan ewakuowanych w czasie walk, a zagnanych do niemieckich krajów Austrji, nawet aż do Tyrolu.

Tym ofiarom wojny pierwszy przyszedł z pomocą Książę Biskup Krakowski i Komitet jego, K. B. K., niosąc im pomoc moralną i materjalną. Bardzo wiele dla nich uczynił. Lecz tu nie wystarczały ofiarne starania jednostek i niewielkie stosunkowo fundusze, któremi Komitet dysponował. Konieczną była ingerencja na wielką skalę władz państwowych, a tylko rząd mógł ukrócić nadużycia popełniane przez organa państwowe. Losem uchodźców i internowanych powinno było się zainteresować Koło Polskie i skłonić rząd do energicznej interwencji na ich rzecz. Reprezentacja parlamentarna polska w Wiedniu była jednak podówczas w zupełnej prostracji. Zasłużonego prezydenta Krakowa, dra Leo, dawniej czynnego i energicznego prezesa Koła Polskiego, złamały wypadki wojenne, Rosjanie pod Krakowem, zatargi z wojskowością austrjacką, niepowodzenie polityki Naczelnego Komitetu Narodowego, za czasów jego prezesury. Przebywał stale w Krakowie, wobec grożącego mu usunięcia z prezydentury miasta. Z wiceprezesów Koła jedni w danych stosunkach nie mogli, inni nie byli skłonni zająć się dolą naszych uchodźców i internowanych, którzy się czuli opuszczonymi przez swoją reprezentację parlamentarną. Również i w kraju, o ile nie był zajęty przez Rosjan, wzbudzała rozgoryczenie bezczynność Koła Polskiego wobec ciężkiego położenia ludności i nadużyć, jakich się na niej dopuszczały wojska austrjackie przy rekwizycjach, egzekucjach z okazji przeważnie urojonych podejrzeń o szpiegostwo i zdradę, przy niszczeniu budynków, a częstokroć zupełnie niepotrzebnem paleniu całych wsi itd. Grono posłów stronnictwa ludowego „Piast“ zażądało zwołania Koła. Wobec stanowiska zajętego przez tych posłów, dr. Leo natychmiast ustąpił dobrowolnie z prezesury Koła Polskiego. Posłowie: Długosz i Kędzior imieniem tej grupy, ofiarowali godność prezesa Bilińskiemu, który miał wtenczas opuścić urząd wspólnego ministra skarbu. W dniu 20 lutego 1915 wybrano go — prawie jednomyślnie — prezesem. Obejmował on zastępstwo interesów ludności polskiej w zaborze austrjackim w najcięższych chwilach dla tego społeczeństwa i w najtrudniejszych warunkach.

Pomijam tu kwestję jego działalności politycznej, wspomnę tylko o tem, co uczynił dla tych, którzy najbardziej ucierpieli wskutek wojny. Zainteresował arcyksiężnę Izabellę, małżonkę osławionego arcyks. Fryderyka, tudzież zacnego arcyks. Karola Stefana z Żywca dolą uchodźców. Oboje, dokładnie poinformowani o stosunkach, interwenjowali u cesarza. Arcyksiężna odczytała mu memorjał, przedstawiający niedolę uchodźców i nieodpowiednie obchodzenie się z nimi. Nazajutrz Franciszek Józef wezwał do siebie premjera hr. Stuerghka. Odtąd zaczęła się poprawa stosunków w obozach barakowych. Ciągle jednak o tę poprawę trzeba było walczyć. Niepodobna opisać licznych zabiegów Bilińskiego u władz w sprawie uchodźców, pism, memorjałów, konferencyj z przedstawicielami rządu, zatargów z władzami cywilnemi i wojskowemi. Dla opieki nad internowanymi Królewiakami utworzył Biliński Komitet, wystarał się o dość znaczne fundusze. Zaopatrzył obozy w odzież. Starał się zwłaszcza usilnie o uwolnienie internowanych, a uwolnionym umożliwiał powrót do ich siedzib. Uzyskał wreszcie tyle, że stosunki na uchodźtwie i w obozach uchodźczych stały się znośne, nie przetrzymywano już niepotrzebnie nikogo wbrew jego woli, a obozy internowanych opustoszały prawie zupełnie. Ile to Bilińskiego kosztowało pracy, wiedziała tylko garstka ludzi, która mu w tem dziele pomagała. Powołam się tu na żyjących świadków jego działalności: posła Andrzeja ks. Lubomirskiego i radcę namiestnictwa Stanisława Noela, czynnych w Komitecie opieki nad internowanymi Królewiakami.

Obok opieki nad rodakami znajdującymi się na obczyźnie, przyszedł Biliński z pomocą i ofiarom wojny w kraju, a w szczególności licznym rzeszom bezdomnych, których siedziby uległy zniszczeniu. Dzięki jego inicjatywie i staraniom uzyskano dla różnych instytucyj krajowych i wielkiej własności dogodne kredyty, zaś dla wsi i miasteczek uzyskał Centralę krajową dla gospodarczej odbudowy Galicji, zaopatrzoną w duże fundusze państwowe, przez którą odbudowano znaczną część zniszczonych budynków i warsztatów pracy.

Akcja ta Bilińskiego, prowadzona na gruncie wiedeńskim, w okresie bezparlamentarnym, bez rozgłosu w prasie, mało była znaną w kraju. Później poszła zupełnie w zapomnienie. Godzi się jednak ją przypomnieć.

Biliński ustąpił z prezesury Koła Polskiego w dniu 14-go maja 1917 r. z powodu kwestyj politycznych, a mianowicie sprawy „wyodrębnienia Galicji“, która już kilka tygodni wcześniej spowodowała dymisję ministra Bobrzyńskiego. Obaj ci najwybitniejsi i najwytrwalsi przedstawiciele t. zw. orjentacji austro-polskiej, musieli ustąpić, gdy orjentacja ta straciła w społeczeństwie polskiem wszelkie podstawy i sympatje, gdy przeciwko niej wystąpiła znaczna część Koła Polskiego, a rząd wiedeński odmówił jej swojego poparcia, nie godząc się nawet na szerszą autonomję (t. zw. wyodrębnienie) Galicji, którą ci dwaj mężowie stanu projektowali i którą odręczne pismo cesarza z 4-go listopada 1916 r. zapowiadało, upatrując w niej jeden ze środków prowadzących do urzeczywistnienia swojego programu politycznego: połączenia Galicji z Królestwem Polskiem pod berłem Habsburgów.

Uznając, że program ten był mylny, należy jednak ocenić wielkie zasługi Bilińskiego pod względem humanitarnym i ekonomicznym dla społeczeństwa polskiego w czasie wojny światowej.



Zmartwychwstanie Polski w dramacie Słowackiego „Beniowski“.

(Dokończenie ze str. 1-szej).

Na rozmowie Pamfilusa z Walkirją urywa się dramat. Wolno się jednak domyślać z parabazy, że Beniowski, wbrew zapowiedzi Walkirji, nie dał się skusić, że poszedł na pole bitwy i zginął. Czytamy bowiem w drugim fragmencie: „Spada cień wieczora — Słońce ogniste weszło między buki — Las cały skrwawiał — zajęczały kruki... Szatan wywołał w zamku cień Hektora, — W ogromnej zbroi ...z krwawą w sercu plamą — I w hełmie stanął jak pod Scejską bramą.... I rzekł: Beniowski! podobne cię losy — Czekają na tej ziemi... Będziesz zbity... Kurz zwala blaski twojej śnieżnej kity — I krew poklei twoje krucze włosy! — Jak ja pod Troją... zginiesz... i płomieniem — Będziesz pożarty — reszta jest milczeniem. — Westchnął i zniknął“. Otóż Beniowski nie chce poprzestać na tej wizji i domaga się innej: „...Z gwiazdami na czole srebrnemi — Wyszły dwa cienie, synowie Hellady, — Kastor i Polluks — i wrzasnęli razem...“ Tu na nieszczęście urywa się drugi fragment parabazy, ale jego znaczenie jest zupełnie jasne: przecie Kastor i Polluks to wcielenie nietylko miłości braterskiej, ale także rycerstwa, bohaterstwa, poświęcenia; szczególnie czczono ich jako opiekuńcze bóstwa m ł o d z i e ż y, pochodzącej z dostojnych rodów, walczącej konno lub w ciężkozbrojnej falandze. Czczili ich nietylko Grecy, ale i Rzymianie, jako bogów-zbawicieli. Więc myśl Słowackiego jest taka: Beniowski za to, że zginął w walce za ojczyznę, będzie czczony jako patron rycerstwa, jako bóg-zbawiciel. Pamiętać trzeba, że Słowacki, w miarę pogłębiania się patrjotyzmu w jego duszy, coraz mocniej wierzył, że sprawa zmartwychwstania Polski to sprawa nietylko narodowa, ale i boża, kosmiczna, że póki Polska nie zmartwychwstanie, dopóty nie będzie spokoju ani na tej ziemi, ani we wszechświecie. I ta właśnie wiara Słowackiego jest przewodnią „ideą“ dramatu o Beniowskim.

———ooOoo———

STANISŁAW KACZOROWSKI.

Wśród powieści.

Utrwaliło się przekonanie, że w życiu każdego powieściopisarza probierzem artystycznej dynamiki i siły twórczego wyrazu jest jego druga książka. Nie pierwsza, o której (może zbyt szablonowo, jednak kto wie czy nie słusznie) mówi się, że była przypadkiem, po prostu udała się, a talent pisarza nabiera mocy i plastyki dopiero w jego następnej powieści. Powieść **Juljana Wołoszynowskiego** p. t. „Rok 1863“ zwróciła uwagę swoją oryginalnością podejścia do tematu, który łatwo mógł go zepchnąć na manowce taniej łezki patrjotycznej, a temsamem obniżyć jego wartość artystyczną o kilka stopni. Oczywiście nie obeszło się bez zarzutów, nawet dość jaskrawych, niemniej jednak powieść bądź co bądź była jasnym obrazem jakości talentu literackiego. W kilka lat po „Roku 1863“ ukazuje się obecnie druga powieść Wołoszynowskiego p. t. **„Było tak“**.

Powieść? Właściwie nie, raczej poemat historyczny, pisany prozą. Już po przeczytaniu pierwszych rozdziałów książki zdejmuje lęk, czy pisarz podoła zadaniu. Bo istotnie trzeba nielada odwagi, aby pokusić się o zadanie tak wielkie, mając na celu zilustrowanie w szerokim, retrospektywnym zasięgu, począwszy od najdawniejszych czasów, naszej historji. Na gruncie literackim jest to jeszcze trudniejsze, niemalże ponad siły jednego pisarza przedsięwzięcie, wymagające nietylko znakomitego opanowania materjału faktycznego, ale również doskonałego wczucia się, pochwycenia tych przyczyn, które snuły się przez cały ciąg naszej historji. Co więcej, szło przecież o to, aby w subtelnych skrótach, fragmentach, wymagających jednak wielkiej, znakomitej plastyki zarówno słowa, jak i treści ujawnić ideową więź naszej historji. Przyznać należy, że Wołoszynowski wywiązał się z zadania bez zarzutu. Prawda, szperacz-historyk może będzie miał to i owo do powiedzenia, ale łatwo stwierdzić, że książka Wołoszynowskiego nie jest rozprawą historyczną, ale dziełem sztuki. Powieściopisarz (nikt przecież na to nie będzie się oburzał) może szczegóły rozmaicie interpretować, inaczej niżeli analiza historyczna, uzbrojona w precyzyjne rzuty krytyki badawczej. Nie ulega wątpliwości, że na konstrukcję powieści Wołoszynowskiego niemały wpływ wywarł Żeromskiego „Wiatr od morza“, niemniej jednak samo podejście do tematu, ujęcie szczegółów oraz przewodniej myśli są bezsporną własnością pisarza. Od najdawniejszych czasów, od Popiela, uciekającego przed gniewem ludu, łagodnego Piasta, który po nim obejmuje rządy, przez Bolesława Chrobrego, Kazimierza Wielkiego itd. aż do czasów najnowszych przędzie się, niby w kalejdoskopie, długi szereg scen, w których wyczuwa się zarówno bohaterstwo, jak i subtelną lirykę. Każda scena łączy się z następną ledwie kilkoma słowami, które niby ogniwa w łańcuchu tworzą efektowną ciągłość poszczególnych obrazów. Ogromnie sugestywny sposób opowiadania, w którem nawet fragment posiada swoją treść, swoje napięcie dramatyczne, swoją, aby tak rzec, duszę, sprawia, że dzieje czy to Bolesława Śmiałego czy Zygmunta Augusta, czy motywy z epoki napoleońskiej lub powstań, nie robią wrażenia jedynie nagich faktów historycznych, jakiejś rejestracji, chwytania treści, bo jest w nich coś o wiele więcej — czysta poezja. I głęboki sens życiowy. Wydźwignięci z mroków dziejowych ludzie ukazują pełnię swego człowieczeństwa, duszę, która cierpi, kocha i walczy, ma swe wzloty i porywy, tragiczne upadki i pogodny nastrój powszedniej szarości. Nie są to tylko skostniałe postacie historyczne, zamknięte w szablonie historycznego widzenia, ale przedewszystkiem ludzie, którzy oddychają tem samem, co i inni, powietrzem i żyją tą samą szarzyzną dnia. Ot, bodaj wspomnieć tę scenę, gdy Stanisław August w ogrodzie łazienkowskim rozmyśla nad swoim tragicznym losem. Niebywały nastrój tworzą już same dekoracje, na których tle uwypukla się doskonale sylwetka znękanego króla i człowieka szukającego w sobie samym sensu swojego losu, — ileż cichej liryki w tym człowieku, którego złe czy dobre duchy postawiły wobec zadań o wiele przerastających jego wątłe siły. A przecież podobnych scen jest w książce Wołoszynowskiego bardzo wiele. Niech będzie również wolno dodać, że w tej pięknej mozajce Wołoszynowski nie ogranicza się jedynie do stosunków polskich, byłoby to zbyt wyraźne zwężenie tematu, a unikanie paralelizmu z tem, co się działo poza naszemi granicami, osłabiałoby nietylko efekt artystyczny, ale również wartość i siłę ideową książki. To też autor w tok akcji od czasu do czasu przyrzuca, ledwo w kilku zdaniach świadczących o doskonałym umiarze słowa, co się działo równocześnie w innych krajach. Tam zdarzyło się to i to, a u nas ciągłe zmaganie się myśli historycznej, śmierć ks. Józefa w nurtach Elstery, upadek powstań itd. Słowem, książka Wołoszynowskiego jest pięknym poematem historycznym, o wielkiej mocy słowa i nastroju oraz wżycia się w minione dzieje i w duszę tych, co je tworzyli.

Gorzej natomiast wypadł egzamin Jalu Kurka. Ostatnia jego powieść pt. „Woda wyżej“ wypadła dosyć nikło. Nie jest to powieść, ale reportaż, który spewnością wypadłby efektownie na łamach jakiegoś dziennika i dość wymownie przemawiałby za talentem publicystycznym autora. Przyznać należy, że sam temat (zeszłoroczna powódź) nie nasuwał wielu możliwości artystycznych, jeżeli się szło po linji najmniejszego oporu, jak to się dzieje w książce Kurka, który ułatwił sobie zadanie, ograniczając się jedynie do reportażowych opisów, pozbawiając powieść prawie całkowicie akcji, i zadawalniając się szablo-

JAN OSTOWSKI.

Zmierzch materjalizmu w przyrodoznawstwie.

Nie ulega wątpliwości, że na sposób myślenia i ustrój życia człowieka współczesnego, wpłynęły wybitnie nauki przyrodnicze. Od wieku XVII. wznoszono i rozbudowywano gmach nauki o przyrodzie z takim rozmachem, że wygląd tej budowli działał na umysły upajająco. Zwłaszcza zastosowania zdobyczy naukowych w technice i medycynie, przyczyniły się do ogólnego prądu, uznającego przyrodniczy i czysto materjalistyczny pogląd na świat, za jedynie odpowiedni dla człowieka inteligentnego. Podstawą tego poglądu jest mechanistyczny sposób pojmowania przyrody. Zasadniczą jego cechą było to, że zarówno w przyrodzie ożywionej, jak i nieożywionej, panuje konieczność niezłomna, czyli determinizm. Wyrazem tego determinizmu są prawa przyrody takie, że na ich mocy ze stanu świata obecnego możnaby wyprowadzić bieg wszystkich zdarzeń w przyszłości, chociażby najbardziej oddalonej. Stąd wynika, że w przyrodzie właściwie nie może powstać, nic nowego, nic, coby wybiegało poza uznane lub uznać się dające prawa przyrody. Wszystko bowiem, co się dzieje i dziać będzie, zostało raz na zawsze zdeterminowane. Pomocną stała się tutaj zasada zachowania energji. Na jej podstawie tłómaczono, że wszystko, co się dzieje, polega na przechodzeniu energji z jednej postaci w inną. Ruch tedy przechodzi w ciepło, ciepło w ruch, prąd elektryczny, przeprowadzony przez wodę, powoduje działanie chemiczne i t. d., a cały mechanizm świata staje się zrozumiały przy założeniu, że wcale nie zachodzi tworzenie się nowej energji. Takie ujęcie przyrody wykluczało istnienie pierwiastka duchowego, a więc naprzykład niezależnej od ciała duszy. Bo — tłómaczyli materjaliści — przyjęcie niezależnej od ciała duszy, która przez swoje niemechaniczne działanie doprowadza naprzykład mięśnie do skurczu i wywołuje ruch, oznaczałoby jakoby dana energja wzrosła, jakoby zaszedł akt tworzenia się nowej siły. Takie przypuszczenie stoi w sprzeczności z zasadą zachowania energji, a więc należy je odrzucić, jako nienaukowe.

Substratem wszystkich zjawisk w przyrodzie miała być „materja". Ale czem jest owa „materja", na to nie umiano odpowiedzieć. Pewne wyobrażenia miała dać tak zwana hipoteza atomistyczna. Głosiła ona, że wszystkie ciała są zbudowane z nadzwyczaj drobnych cząstek, związanych między sobą siłami przyciągającemi. Chemja rozłożyła wszystkie rodzaje ciał na 92 pierwiastki, utworzone z cząstek niepodzielnych czyli atomów. Dzisiaj — jak wiadomo — atomy nie są już kresem podzielności materji. Z nich dają się wydzielić części jeszcze bardziej elementarne, jak elektrony ujemne, elektrony dodatnie, protony, heljony i neutrony.

MATERJALIZM W STAROŻYTNOŚCI.

Konsekwentny materjalizm w starożytności sformułowali w V. wieku przed Chr. Leukipp i Demokryt. Wszystko co się znajduje w przyrodzie — wedle ich nauki — składa się z atomów. Nawet dusza, zdaniem Demokryta składa się z gładkich i okrągłych delikatnych atomów i one to powodują ruchy ciała. Atomizm przyjęła szkoła epikurejska, a jej naukę wyłożył poeta rzymski Lukrecjusz w poemacie naukowym „De rerum natura". Epikur nauce Demokryta nadał antyteologiczną tendencję i dlatego Lukrecjusz sławi go za to, że uwolnił ludzkość „od przesądów". Poglądy Epikura w postaci, jaką nadał im Lukrecjusz, wywarły ogromny wpływ na filozofję XVII i XVIII wieku i przyczyniły się do utrwalenia materjalizmu. Oczywiście, że atomistykę starożytną nie można nazwać teorją naukową w znaczeniu nowożytnem. Zawiera ona jednak w sobie przewodnie myśli atomistyki współczesnej i jest zbliżona do zwykłego, niefilozoficznego sposobu myślenia. Ostatecznie u podstaw tych poglądów leży naiwne mniemanie, że realnem może być tylko to, co jest zmysłami dotykalne. Dzisiaj tego rodzju pogląd traci coraz bardziej na znaczeniu, wobec nowych odkryć i badań przyrodniczych. Nadmienić jeszcze należy, że zasadniczem uzupełnieniem atomistyki Demokryta, wprowadzonem przez nowożytną atomistykę, było przyjęcie, iż cząstki, z których są zbudowane atomy, posiadają naboje elektryczne, wskutek czego mogą one działać na siebie siłami elektrycznemi i magnetycznemi.

TEORJA KWANTÓW.

Ów mechanistyczno - materjalistyczny światopogląd, oparty na zdobyczach przyrodoznawstwa, utrwalił się ostatecznie około roku 1886. Twierdzono wówczas, że wszystkie zasadnicze odkrycia w fizyce są już dokonane, a dalszy postęp będzie polegał tylko na ilościowych zmianach tego, co już zostało odkryte i ustalone. Tymczasem schyłek XIX wieku, ściślej biorąc lata 1895-96, przynoszą odkrycia, które zaprzeczyły temu twierdzeniu. W r. 1895 Roentgen pokazuje pierwszą fotografję kości własnej ręki, co prowadzi do rozwoju elektronowej teorji materji. W r. 1896 następuje odkrycie radjoaktywności, co odrazu podkopało zasadę niezmienności materji. Całokształt tych zdobyczy, czynionych dalej w XX wieku zaprowadził dzisiaj do powstania nowej fizyki, odmiennej od fizyki dawnej, dzisiaj zwanej klasyczną. Są to już teraz dwie różne nauki, a fizyka nowa cechuje się tem, że wywiera wielki wpływ nietylko na inne nauki przyrodnicze, ale także i na poglądy filozoficzne, zgoła odmienny, aniżeli czyniła to fizyka klasyczna.

Rok 1924 możnaby nazwać najbardziej znamiennym w rozwoju nowej fizyki. Wówczas powstała nowa doktryna, mająca na celu ujęcie i wytłómaczenie całego szeregu odkryć, które nagromadziły się w ciągu pierwszych dziesięcioleci XX wieku. Jest to tak zwana **„mechanika kwantów"**. Na powstanie jej złożyły się prace Francuza Louis: de Broglie, Niemca Schrödingera, który poglądy swe rozwinął na podstawach, nakreślonych przez Broglie, a nadto nadał jej specjalną formę matematyczną. Schrödinger nazywa swą mechanikę również mechaniką falową. Natomiast młody uczony niemiecki Heisenberg poszedł zupełnie inną drogą, pod pewnym względem wprost przeciwną do idei de Broglie i Schödingera. Teorja Heisenberga otrzymała właśnie nazwę mechaniki kwantowej i specjalną postać matematyczną. Choć zdawało się pierwotnie, że kierunki Schrödingera i Heisenberga nie mają nic wspólnego ze sobą, to jednak przy rozwiązywaniu różnych zagadnień, dotyczących atomu, prowadziły do wyników zupełnie jednakowych, zgodnych z doświadczeniem. Okazało się wreszcie, że oba kierunki tak zewnętrznie różne, mają jednak identyczne podstawy matematyczne i we wszystkich szczególnych przypadkach zastosowań, muszą wobec tego prowadzić do jednakowych wyników. Wreszcie uczony angielski Dirac stworzył jakby trzeci kierunek mechaniki kwantowej, różniący się od obu poprzednich głównie specyficzną metodą matematyczną. Dzisiaj obok nazw „mechaniki falowej" i „mechaniki kwantowej", usiłują niektórzy fizycy wprowadzić ogólniejszą nazwę „mikromechaniki", ponieważ stosuje się ją przy rozpatrywaniu różnorodnych zagadnień, dotyczących świata atomów i cząsteczek.

Rozwój mechaniki kwantów poprzedziła tak zwana teorja kwantów, datująca się od roku 1900, kiedy to Niemiec Planck wprowadził do fizyki pojęcie „kwantu energji". Wyjaśnił on niektóre zjawiska promieniowania przez odrzucenie poglądu, jakoby energja promienista była wysyłana i pochłaniana strumieniem ciągłym, a natomiast przyjął, że energja ta zostaje wysyłana i pochłaniania nie strumieniem ciągłym, lecz jakby w zupełnie określonych ilościach na podobieństwo kropel lub porcyj. Te krople, jakgdyby atomy energji promienistej, noszą nazwę „kwantów".

Dla lepszego objaśnienia tego pojęcia przedstawmy sobie, jak wygląda zjawisko emisji światła, wysyłanego przez zwykłą żarówkę elektryczną. Wykłada to popularnie Prof. J. H. Jeans, uczony i popularyzator najnowszych zdobyczy wiedzy przyrodniczej, w swej książce p. t. „Nowy świat fizyki". „Istota rzeczy — pisze on — polega na tem, że rozżarzony drut otrzymuje energję z dynamomaszyny i wyładowuje ją w postaci promieniowania. Wewnątrz samego drutu elektrony miljonów atomów wirują w swych orbitach, przeskakując z jednej do drugiej w sposób nagły i niepodlegający żadnej ciągłości, wydzielając, to znów absorbując promieniowanie w ciągu tego procesu". Fizyk Einstein zbadał to, co możnaby nazwać statystyką tych skoków. Niektóre z nich są wywołane samem promieniowaniem oraz ciepłem drutu, lecz nie są one na tyle liczne, aby mogły stanowić całkowitą przyczynę promieniowania, wydzielonego przez drut. Wykryto, że muszą zachodzić tam inne jeszcze skoki, występujące spontanicznie, podobnie jak przy rozkładzie atomu radu. Krótko mówiąc, zdawałoby się, iż te zjawiska podlegają jakiejś konieczności.

ZASADA NIEPEWNOŚCI.

Elektron, owa cząstka tak ważna w atomie, była wyobrażana, jako masa naelektryzowana ujemnie, skupiona w niezmiernie małej objętości. De Broglie wykazał, że taki wyobrażenie jest niewystarczające. Doświadczenie stwierdziło także, że to, co nazywamy „elektronem", musi posiadać równocześnie własności fali obok własności cząsteczki. Podobnie promień światła posiada też podwójną naturę, jest falą elektromagnetyczną i strumieniem cząstek, które dzisiaj nazywamy fotonami. Ponieważ jednak nie można sobie wyobrazić przedmiotu, któryby był równocześnie i cząstką i falą, przeto wynika stąd, że zjawiska atomowe nie dadzą się przedstawić zapomocą pojęć, zaczerpniętych z doświadczenia zmysłowego. Heisenberg wykazał znowu dalej, że każdy pomiar, mający na celu wyznaczenie jakiejkolwiek wielkości fizycznej wprowadza zaburzenie w układzie, który jest przedmiotem pomiaru. Dawna fizyka stała na stanowisku, że to zaburzenie można przynajmniej teoretycznie nieograniczenie zmniejszać. Sądzono, że gdybyśmy mogli rozporządzać doskonałym przyrządem, tobyśmy mogli określić jednocześnie położenie i ruch elektronu w danym momencie z najwyższą dokładnością. To złudzenie wprowadziło do przyrodoznawstwa determinizm. Obecnie Heisenberg wprowadził zasadę, zwaną „zasadą niepewności". Wedle niej nie możemy nigdy równocześnie zmierzyć dokładnie ruchu i położenia elektronu. Im lepicj określimy położenie elektronu, tem gorzej określimy jego prędkość. To samo dotyczy i innych par wielkości fizycznych, którebyśmy pragnęli określić. Krótko mówiąc, nowa fizyka stoi na stanowisku, że określenie ruchu i położenia leżą na dwu odmiennych płaszczyznach rzeczywistości, nie dających się jednocześnie nastawić na absolutną dokładność. Wskutek tego zasada niepewności pociąga za sobą rewizję pojęć przyczynowości i przewidywania zjawisk przyrody. Dawny pogląd deterministyczny na przyrodę wyglądał tak, że po stanie A musiał nastąpić B, C, i t. d., a obecnie teorja kwantów mówi, że po stanie A nie musi, ale może nastąpić stan B, C, i t. d., przytem równie dobrze może nastąpić C, D i t. d. Zasada niepewności głosi, jak widać, że warunki początkowe cząsteczki badanej są zawsze częściowo nieokreślone, albowiem ściśle dokładna znajomość położenia i ruchu jest niemożliwa. Wobec tego o przyszłych dziejach cząsteczki badanej możemy wysnuwać wnioski mniej lub więcej prawdopodobne, ale nigdy pewne. Dlatego mechanika kwantów stwierdza nieważność prawa przyczynowości. Ponieważ to prawo jest wyrazem determinizmu, więc do nowej fizyki zostaje wprowadzony indeterminizm. A dzieje się to dlatego, że nowa fizyka wychodzi poza granice przestrzenno-czasowe, w których żyjemy i przyjmuje istnienie rzeczywistości pozazmysłowej, opartej na mechanice kwantów. Ta mechanika posiada swoje własne rusztowanie matematyczne, które nie ustępuje pod względem logiki dawnym teorjom fizyki klasycznej. To rusztowanie jest także wyrazem prawidłowości w przyrodzie, ale ta prawidłowość unosi się jakgdyby ponad przestrzenią i poza czasem. I dlatego prawo przyczynowości tak silnie związane z naszemi wyobrażeniami przestrzenno-czasowemi, musi tutaj ulec ograniczeniu.

Jakiekolwiek jeszcze będą koleje mechaniki kwantów, nie ulega wątpliwości, że skutkiem przewrotu przez nią wprowadzonego, sposób patrzenia na przyrodę, uległ zmianom radykalnym. Dokonał się zwrot w kierunku idealistycznym. Dawne twierdzenie, że w fizyce istnieje tylko to, co jest „materją", co się da niejako dotknąć, zważyć, zmierzyć, ściśle określić, dziś jest przyjmowane z zastrzeżeniem. W ten sposób otwierają się przed nami nowe perspektywy na ostateczną likwidację sławnego w 19 w. „konfliktu" między wiedzą, a wiarą i na zwycięstwo chrześcijańskiego poglądu na świat.

---

nową rejestracją faktów, w której ustawicznie mówi się o tem samem. Brak tutaj jasno opracowanej konstrukcji, akcja, jeżeli wogóle można mówić o akcji, rozwija się koło tych samych motywów, pozbawionych nagół wszelkiej dynamiki treści, nie przykuwającej w żaden sposób uwagi. O wodzie mówi się w rozmaitych warjantach, ciągle ktoś telefonuje, ciągle gdzieś woda przerywa wały ochronne, ciągle ludzie są w niebezpieczeństwie, czyli ciągle to samo od pierwszej do ostatniej stronicy. Wskutek tego książka posiada jedną zaletę, można ją zacząć czytać w każdem miejscu, od środka, albo od końca, jak kto woli, wrażenie artystyczne będzie zawsze to samo, zwłaszcza, że i stopień napięcia dramatycznego jest przez całą książkę również ten sam, a o gradacji wrażeń niema mowy. Prawda, że Kurek stara się zmontować jakieś podstawy ideowe, bo przecież w tej książce należało coś powiedzieć, mówi więc o załamaniach duchowych Makara, usiłuje wysunąć od czasu do czasu jakiś element społeczny, zresztą dość mglisto, ale to wszystko jakoś się nie trzyma, a cała ideologja jest grubemi nićmi szyta. Wreszcie jeszcze jedno. Stylowi „Grypy" można było niejedno zarzucić, ale ostatecznie znać było w niej jakąś pracę, staranność; natomiast w ostatniej powieści styl jest spewnością najsłabszą jej stroną, niedbały, pozbawiony wszelkiej korektury. Nasuwa się więc ostateczne przypuszczenie, czy przypadkiem sam tytuł powieści Kurka „Woda wyżej" nie jest przysłowiowym dla jego twórczości.

W roku 1934 powstał w Warszawie zespół literacki p. t. „Przedmieście". Obecnie **Helena Boguszewska**, jego dusza i **Jerzy Kornacki** wydali powieść p. t. **„Wisła"**. Jest to osobliwa książka, bo jej akcja w całości rozgrywa się na berlinkach i łodziach, płynących po Wiśle od Torunia do Sandomierza. Zdawałoby się, że z mało stosunkowo efektownego tematu, trudno będzie zbudować interesującą fabułę. Tymczasem rzecz ma się zupełnie inaczej. Niema tu wprawdzie jednej centralnej postaci, bohaterami są wszyscy właściciele berlinek, ludzie, których monotonne życie, bezbarwne, złożone z drobnych szarych spraw, ale właśnie w tych cichych i nieznanych radościach czy smutkach mieści się dla pisarza wielkie bogactwo nieznanego, oryginalnego materjału. Niema tu efektownych dramatów, wieczna i niekończąca się troska dnia, zespołowość współżycia, sączącego się ospale w kajutach małych statków zawiera w sobie coś tak charakterystycznego i osobliwego, że niemal trąci egzotyzmem. Zdala od wielkiej Warszawy czy Płocka, tchnie urokiem niezwykłej odrębności. Boguszewska i Kornacki schodzą do nizin szarych spraw, zdołali jednak wyzyskać każdy drobiazg, do mocnych nieraz głęboko nastrojowych scen, w których pod pozornie bezbarwną przysłoną monotonności kryje się niezmiernie bogata treść.

COS Z MEDYCYNY.

Nowotwory dobrotliwe i szkodliwe.

W żywych organizmach zachodzą trojakiego rodzaju zmiany twórcze: przerost tkanek, odradzanie się ich, wreszcie nowotworzenie (czyli powstawanie nowotworów). Np. ciężka praca fizyczna, gimnastyka, prowadzi do przerostu mięśni. Na miejscu zdartego naskórka odradza się nowy. — Dwa pierwsze procesy, a więc przerost i odradzanie się, mają za zadanie ochronę organizmu przed szkodliwemi wpływami otoczenia, i są zmianami pożądanemi; nowotworzenie zaś przeciwnie! Między temi zmianami, a więc z jednej strony przerostem i odradzaniem się, z drugiej zaś powstawaniem nowotworów zachodzą zasadnicze różnice. Przy przeroście i odradzaniu się, nie trudno wykryć ich przyczynę; skąd się biorą nowotwory, o tem medycyna nie wiele może powiedzieć.

Nowotwory są pewnego rodzaju pasorzytem ustroju. Niekażdy jednak jest jednakowo niebezpieczny dla człowieka. Stąd dzielimy nowotwory na „dobrotliwe" i „złośliwe". Kryterjum dla tej oceny stanowi zachowanie się danego nowotworu względem ustroju, w którym się rozwija. Nowotwór dobrotliwy po operacyjnem usunięciu go nie odrasta, czyli nie recydywuje. Dalej nowotwór dobrotliwy nie daje tak zwanych przerzutów, to znaczy nie przenosi się z prądem krwi, lub limfy, w okolice organizmu, odległe od miejsca, w którem zaczął się rozwijać. Wreszcie nie wyniszcza on ani zatruwa organizmu dotkniętego nim. Może tylko swemi rozmiarami, oraz usadowieniem ujemnie wpływać na organizm. Np. wielki guz w jamie brzusznej o cechach nowotworu dobrotliwego, utrudnia funkcję jelit mały dobrotliwy guzek w mózgu, uciskając ważne ośrodki nerwowe, odechania i krążenia, mo-

że doprowadzić do śmierci mimo, że jest w gruncie rzeczy nowotworem dobrotliwym.

Inaczej zachowuje się nowotwór złośliwy. Przedewszystkiem recydywuje, a więc usunięty operacyjnie nierzadko wyrasta ponownie w tem samem miejscu. Następnie daje przerzuty; cząstki nowotworu odrywają się od niego i z prądem krwi lub limfy dostają się do zdrowych jeszcze części organizmu, dając tam początek nowemu ognisku nowotworowemu. Wreszcie nowotwór złośliwy zabiera ustrojowi substancje odżywcze, oraz produkuje wydzieliny złośliwe, co razem wzięte prowadzi do wielkiego wyniszczenia organizmu, kończącego się ostatecznie śmiercią.

Nowotwory tak złośliwe jak i dobrotliwe, mogą rozwijać się we wszystkich narządach ustroju, a więc w skórze, kości, chrząstce, mięśniach, nerwach, tkance tłuszczowej, płucach, jelitach, wątrobie, nercu, mózgu, gruczołach i t. d.

Do najważniejszych nowotworów złośliwych należą raki. Są to nowotwory wychodzące z nabłonków, a więc ze skóry i błon śluzowych pokrywających przewód pokarmowy i t. d. Ulubionem siedliskiem raków są miejsca, gdzie jeden nabłonek przechodzi w drugi, n. p. na wardze, w miejscu gdzie kończy się skóra, a zaczyna błona śluzowa jamy ustnej. Częściej zapadają na raka kobiety, u których występuje on często w postaci raka sutka lub macicy.

Ciekawe, skąd pochodzi nazwa tego nowotworu.

Naogół nowotwory przybierają kształty mniej, lub więcej, okrągłych guzów, o wyraźnie zaznaczonych granicach, i te są przeważnie dobrotliwe, lub guzów o granicach niewyraźnych, zatartych, wrastających w sąsiednie tkanki. Do tych ostatnich należy rak. Od centrum tego nowotworu rozchodzą się w sąsiedztwo wypustki, żywo przypominające odnóża raka. Stąd też wywodzi się nazwa tego nowotworu.

Wprawdzie w walce z nowotworami złośliwemi w wielu wypadkach dobre wyniki uzyskano przy zastosowaniu radu, oraz promieni Roentgena, w 90 jednak procentach jedynem, pewnem, lekarstwem na nowotwory złośliwe jest zabieg operacyjny, wykonany wcześnie, to znaczy wówczas, gdy nowotwór nie dał jeszcze przerzutów. Nowotwory dobrotliwe usadawiają się czasem w pobliżu nerwów, uciskają je i przez to wywołują bóle, to znowu przybierają zbyt wielkie rozmiary, wreszcie co gorsza z biegiem czasu przeobrazić się mogą w nowotwory złośliwe. Dlatego też chirurgowie rozpoznawszy nowotwór dobrotliwy, radzą go usunąć, by zapobiec ewentualnym skutkom, na jakie obecność nowotworu dobrotliwego w organiźmie narazić może pacjenta.

ak.

JÓZEF PAKOSIEWICZ.

„Woda ciężka".

Skrzętną pracowitością i ogromnym trudem całego życia zdobywają dla nas uczeni wiedzę o rzeczach nas otaczających. Odkryli już wiele dziwów, wydarli przyrodzie wiele tajemnic. Zdobycze nauk przyrodniczych powodują często powierzchowny i płytki sąd, że niedaleki już czas, kiedy człowiek pozna całkowicie świat i wszystkie jego zagadki. Nic bardziej złudnego. Odkrywcy nowych niespodzianek, twórcy nauki, umysły głębokie wskazują, że po zadziwiających zdobyczach nauk przyrodniczych wciąż jeszcze jesteśmy tylko u progu rozumienia skomplikowanego mechanizmu natury, **wciąż jeszcze nie znamy najprostszych** — zdawałoby się — **zjawisk i ciał.**

Weźmy takie ciało, jak woda, łatwo dostępne, a odgrywające ogromną rolę w świecie martwym i ożywionym. Zdawałoby się, że niema ciała bardziej zbadanego od wody. — W przekonaniu, że określono dobrze jej skład, cechy fizyczne i własności chemiczne, użyto wody jako podstawy do określenia różnych jednostek i wielkości. Przy jej pomocy określono **punkt zerowy i setny termometrów**, w oparciu o wodę zdefinjowano jednostkę ciepła, znaną nam dobrze ze szkoły **kalorję**, centymetr sześcienny wody posłużył **do określenia masy jednego grama.**

A tymczasem nagle wykryto rzecz zdumiewającą, mianowicie, że

MAMY CONAJMNIEJ DWIE WODY:

wodę dotychczasową, zwaną wodą „lekką" i wodę „ciężką", świeżo poznaną. Odkrycie ciężkiej wody, dokonane w r. 1932 przez amerykańskiego uczonego H. C. Ureya, nie wywołało początkowo wielkiego zdziwienia i rozgłosu. I dopiero gdy badania innych uczonych potwierdziły ten doniosły fakt, poruszony został cały świat naukowy. Odkrycie ciężkiej wody łączy się z całym szeregiem nowych zagadnień ważnych ze względów teoretycznych i praktycznych.

Dla dobrego zrozumienia i oceny istoty nowego odkrycia, należy przypomnieć sobie coś niecoś z nauki chemji. Starszych z nas uczono, że pierwiastki chemiczne są ciałami całkowicie jednolitemi (jednorodnemi), a ich najdrobniejsze cząstki, zwane atomami, posiadają określony jednakowy ciężar. Młodsi z nas wiedzą, że przytoczone zdanie, traktowane w pewnym okresie czasu niemal jako dogmat, nie jest słuszne. Okazało się naskutek badań Astona i i., że pierwiastki nie są materjałem jednolitym, lecz mieszaniną atomów o różnych ciężarach atomowych. Zjawisko to nazywamy z grecka izotopją. **Izotopy**, to właśnie atomy o różnym ciężarze atomowym, zachodzące w jednym i tym samym pierwiastku atomowym. Posiadają one identyczne własności chemiczne, różnią się natomiast cechami fizycznemi, zwłaszcza wspomnianym ciężarem atomowym. Tak n. p. znany gaz bojowy chlor posiada dwa izotopy. Atomy jednego izotopu posiadają ciężar 35, a drugiego 37.

Kilka pierwiastków uchodziło dotychczas za jednorodne, to znaczy za nieposiadające izotopów. Za takie pierwiastki uznawano również tlen i wodór, będące, jak wiadomo, składnikami wody. Za pomocą nowych metod udało się jednak wykazać, że i te **pierwiastki złożone są z izotopów.** Stwierdzono, że obok atomów wodoru o ciężarze 1, istnieją również atomy wodoru o ciężarze 2. Wyrażono przypuszczenie, że **skoro istnieje wodór dwojakiego rodzaju, to musi istnieć i dwojakiego rodzaju woda: lekka posiadająca w swych cząsteczkach wodór lżejszy, i woda ciężka, zawierająca w cząsteczkach wodór ciężki o ciężarze atomowym 2.** Żmudne doświadczenia potwierdziły słuszność tego przypuszczenia i pozwoliły uzyskać minimalne początkowo ilości

WODY CIĘŻKIEJ, BĘDĄCEJ O 11% CIĘŻSZĄ OD WODY NORMALNEJ.

Amerykański uczony Lewis w publicznym wykładzie zademonstrował tę różnicę w ten sposób, że wrzucił pływak szklany, utrzymujący się na powierzchni wody „ciężkiej" do wody „lekkiej": pływak natychmiast zatonął. Litr wody ciężkiej waży 1.100 gr., a więc o 100 gr. więcej od wody zwyczajnej. Ku badaniom wody ciężkiej zwróciło się wielu uczonych, to też w ciągu krótkiego stosunkowo czasu opracowano metodę pozwalającą na otrzymanie znaczniejszych ilości wody ciężkiej. Gdy przed paru laty uzyskanie centymetra sześciennego wody ciężkiej połączone było z wielkiemi kosztami i trudami, obecnie można uzyskać łatwo znaczniejsze jej ilości.

Czem oprócz ciężaru różni się woda nowoodkryta od wody dobrze nam znanej? **Nowa woda wrze nie przy 100 stopniach C., lecz przy 101.42 stopniach**, krzepnie przy 3.8 stopniach, największa jej gęstość przypada w temperaturze 11.6 stopni. gdy woda zwykła ma największą gęstość przy 4 stopniach. Odkrywca wody ciężkiej Urey twierdzi, że w smaku woda ciężka nie różni się od wody zwykłej, natomiast inni twierdzą, że woda ciężka jest jakby słodkawa.

Niejednego zaciekawi, jaki wpływ wywiera woda ciężka na procesy życiowe: pobudza je, czy też hamuje. Zwróćmy uwagę na to, że woda ciężka jest gęstsza od wody zwykłej, jej cząstki utrzymują się we wzajemnej więzi z większą siłą. Stąd wynika, że woda ciężka trudniej dyfunduje, trudniej przenika przez błony t. zw. półprzenikliwe, a wiemy, że przenikanie przez błony półprzenikliwe jest podstawowym procesem w życiu komórek organicznych. Wspomniany już Lewis wykazał, że nasiona tytoniu przy dostępie jedynie ciężkiej wody nie kiełkują wcale po dwu dniach, gdy natomiast nasiona te w obecności zwykłej wody kiełkują zupełnie dobrze w tym samym czasie.

Kijanki, również ryby i inne zwierzęta wodne giną po pewnym czasie w 92 proc. wodzie ciężkiej, natomiast 30 proc. wcale im nie szkodzi. Żaby w wodzie o wartości 5 proc. wody ciężkiej przestały się rozwijać.

Dotychczas nie wyjaśniono, **czy woda ciężka działa na ustrój tak jak trucizna, czy też działa na ustroje w sposób pośredni.** Zapewne życie zamiera nie wskutek jakiegoś wpływu wody ciężkiej na ustroje, lecz skutkiem braku wody lekkiej, analogicznie do braku tlenu. Należałoby powiedzieć, że

CZYSTA WODA CIĘŻKA NIE PODTRZYMUJE ŻYCIA.

Decydującego sądu co do pierwszego, czy też drugiego oddziaływania wody ciężkiej na ustroje wydać nie można, boć badania są dopiero w toku. **W każdym razie zauważono, że występowanie wody ciężkiej w otoczeniu w ilości przewyższającej stosunki normalne, hamuje przebieg zjawisk życiowych.**

Woda ciężka znajduje się w zwyczajnej wodzie w wielkiem rozcieńczeniu: 5.000 litrów wody zwykłej zawiera 1 litr wody ciężkiej. Wskazane wyżej własności fizyczne wody, jak wyższy ciężar właściwy, wyższa temperatura wrzenia oraz zamarzania nasuwają przypuszczenie, że woda ciężka gromadzi się w znaczniejszych ilościach na dnie mórz i oceanów oraz w zamkniętych jeziorach. Istotnie stwierdzono, że woda morska z głębokości znaczniejszej posiada większy ciężar właściwy, niż woda zwykła.

Na zakończenie dodać należy, że Harold Clayton Urey, profesor Columbia University w Nowym Jorku, który wsławił się odkryciem ciężkiego wodoru i ciężkiej wody otrzymał za swe odkrycia nagrodę Nobla z dziedziny chemji na rok 1934. Rozwiązał on zagadnienie, nad którem mozoliło się przed nim wielu mniej szczęśliwych uczonych i dał impuls do nowych twórczych badań.



MIECZYSŁAW BABIŃSKI.

Prasa i dziennikarstwo w Japonji.

11.118 pism czytają Japończycy. — Dwa dzienniki w miljonowych nakładach. — Aeroplany i gołębie na usługach prasy. — Trudna praca drukarzy. — Amerykańskie metody reklamy. —

Najtrudniejszem pismem na świecie są hieroglify japońskie. Opanowanie około pięciu tysięcy ideogramów pojedynczych, a przeszło 50 tys. łączonych z sobą w różny sposób celem utworzenia znaku nowego pojęcia, pochłania sporo czasu w życiu każdego Japończyka. Pismo to mimo swej identyczności z chińskiem, jest od niego trudniejsze. Każdy bowiem hieroglif japoński posiada kilka sposobów czytania, podczas gdy ten sam znak w piśmie chińskim ma tylko jedno brzmienie. Zdawaćby się mogło, że lektura dzienników dostępna jest w Japonji ograniczonej liczbie ludzi wykształconych, a co zatem idzie — że prasa w Japonji stoi na bardzo niskim szczeblu rozwoju. Tymczasem jest wręcz przeciwnie.

Prasa japońska prawie pod każdym względem dorównuje prasie angielskiej i amerykańskiej. Naród 90-cio miljonowy czyta 11.118 najrozmaitszych pism (1.330 dzienników, 704 tygodniki i 9.084 pisma, ukazujące się trzy razy w miesiącu), przyczem nakład dzienników wynosi 5 miljonów egzemplarzy. W samem tylko Tokjo wydaje się 81 perjodycznych pism fachowych z zakresu sztuki, literatury, medycyny, ekonomji, prawa, polityki, historji, religji, filozofji, pedagogiki i sportu. Najwięcej poczytne dzienniki wychodzą w Osaka i w Tokjo. „Osaka Asahi Shimbun" i „Osaka Mainichi Shimbun" rozchodzą się w miljonowych nakładach. „Tokyo Nichi-Nichi Shimbun" stoi na trzeciem miejscu (dziennie 450 tys. egz.), następnie należy wymienić: „Tokyo Asahi Shimbun" (430.000), tokijski „Hochi Shimbun" (250.000), „Jiji Shimpo" (Dzidzi Simpoo — 200.000) i „Kokumin Shimbun" (170.000). Każdy z tych dzienników rozporządza kapitałem zakładowym ponad miljon jenów (jen obecnie 1.75 zł.), a niektóre nawet pięciomiljonowym.

Co sprzyja tej wielkiej stosunkowo poczytności?

Muszę nawiązać do pierwszych zdań tego artykułu. Oto hieroglify japońskie są niezmiernie trudne, lecz Japończycy przeszczepiając pismo chińskie na swój teren, stworzyli oprócz niego **alfabet, złożony z 51 liter.** W popularnym dzienniku artykuły czy notatki są drukowane hieroglifami, lecz zarazem przy każdym hieroglifie podane jest jego brzmienie alfabetem. Pomaga to znakomicie tym, którzy nie znają wszystkich ideogramów. **Analfabetów zaś w Japonji jest tylko 0.5 procent.** Według ostatniej statystyki min. oświaty z 1931 r. na 10.105,941 dzieci w wieku szkolnym — do szkoły zapisano 10,056.000. A każde z nich po sześciu latach nauki w szkole pospolitej (sioogakko) wynosi nietylko znajomość alfabetu, lecz i 1.200 niezłożonych hieroglifów, co już wystarcza, by przeczytać i zrozumieć dziennik. Ważnym również czynnikiem, sprzyjającym poczytności dzienników, jest swoboda krytyki przez prasę posunięć rządu i daleko posunięta wolność słowa. Nawet ostre ataki prasy opozycyjnej nie są tępione przez cenzora. Ten skreśla tylko artykuły, tchnące zbyt zjadliwym komunizmem, niemoralnością lub godzące w majestat cesarski. Mimo tej swobody prasowej w Japonji, procesy dziennikarskie są rzadkie. Z dzienników więc może czytelnik dowiedzieć się o wszystkiem, a ciekawość była i jest cechą charakterystyczną Japończyków.

Japończycy twierdzą, że dziennikarstwo istnieje u nich już od trzystu lat. Lecz były to tylko luźne kronikarskie wiadomości, wydawane na dworach możnych książąt o skandalach towarzyskich i obchodach czy uroczystościach dworskich. Dziennikarstwa, w dzisiejszem znaczeniu, nauczyli Japończyków Amerykanie. Znaleźli zresztą bardzo podatny grunt. Po układzie pokojowym japońsko - amerykańskim w 1854 r., naskutek którego Japonja otwarła swe porty dla zagranicy, tłumnie zaczęli napływać cudzoziemcy, głównie kupcy. Przeważnie dla informacyj założyli oni wtedy w Japonji pierwsze angielskie dzienniki: „Japan Chronicle", „Hyogo News", „Japan Mail", „Japan Advertiser", „Japan Times", „Commercial News", „Japan Gazette" i inne. Dopiero później pojawiają się dzienniki japońskie: „Yokohama Mainichi Shimbun" (1871 r.), „Tokyo Nichi-Nichi Shimbun" (1872 r.), „Hochi" (1873 rok) i „Yomiuri" (1874 r.).

Przed sześćdziesięciu zatem laty japońskie dziennikarstwo zaczęło stawiać pierwsze kroki. Lecz były to kroki pewne i szybkie, a sprzyjało temu zainteresowanie się Japończyków zagranicą. Z początku przedrukowywano wiadomości z dzienników angielskich, a dzisiaj prawie wszystkie pisma, redagowane w języku angielskim opierają się na prasie japońskiej, która, jak wyżej zaznaczyłem, wzrosła do niebywałej potęgi.

Wielkie dzienniki rozporządzają armją reporterów, własnemi linjami telefonicznemi, kolumnami samochodów a nawet aeroplanami i stacjami radjowemi. Wszystko przygotowane jest do łowienia najświeższych wiadomości. A pomaga w tem jeszcze każdemu dziennikowi conajmniej kilkanaście agencyj telegraficznych. W samem Tokjo jest ich 22. Shimbun Rengosha" i „Nippon Dempe Tsushin", wzorowane na amerykańskich agencjach, udzielają wiadomości wszystkim dziennikom. Z zagranicznych współpracują z prasą japońską „Reuter", „Associated Press" i „United Press". Bogate wydawnictwo czyni — jak widzimy — wszystko, by wiadomość dotarła jaknajszybciej do czytelnika. Na odległe miejsce wypadku, katastrofy lub trzęsienia ziemi, wysyła się samolotami kilkunastu reporterów. Ci przekazują wiadomości telefonicznie, albo wypuszczają wiezione z sobą gołębie pocztowe, z przyczepionem do nóżki sprawozdaniem. Unika się natomiast telegrafu, ponieważ wobec olbrzymiej ilości równobrzmiących słów w języku japońskim, każdy artykuł trzebaby przepisywać na szyfr, w którym hieroglify oznaczone są liczbami. A hieroglifów jest przeszło cztery tysiące. — Uciążliwa praca czeka dopiero zecerów, **którzy cały materjał redakcyjny składają ręcznie.** Jaką znajomość rozkładu tych nieszczęsnych czterech tysięcy musi zecer posiadać i ile to trzeba bieganiny wśród tylu też kaszt, by złożyć artykuł. Drukarnie liczą zwykle kilkudziesięciu zecerów i tyluż chłopców.

Dzienniki japońskie nie poprzestają na samem tylko karmieniu czytelnika najnowszemi i najszczegółowszemi wiadomościami. Od Amerykanów Japończycy nauczyli się reklamy. Stosuje się ją z takim samym rozmachem, jak w Stanach Zjednoczonych. Jeden dziennik stara się w pomysłach wyprzedzić drugi. Najrozmaitsze konkursy z nagrodami, koncerty, odczyty, rauty, wystawy kwiatów, pokazy ogni sztucznych, gratisowe bilety kolejowe i samolotowe — wszystko to ma na celu werbowanie nowych czytelników. Dla reklamy przecież w swoim czasie koncern „Asahi" zorganizował przelot aeroplanem z Tokjo do Paryża, **dla reklamy też ten sam koncern założył własną komunikację powietrzną między Tokjo i Niigata** na przestrzeni 380 kilometrów, a dziennik „Jiji Shimpo" sfinansował podróż dwóch swoich współpracowników naokoło świata w ciągu 35 dni, w dwu odwrotnych kierunkach.

Dla nas Europejczyków, mimo wszystko, Japonja jest ustawicznie jeszcze krajem egzotycznym. To samo wrażenie odniósłby dziennikarz japoński, gdyby zapoznał się z dziennikarstwem w krajach europejskich, a między nimi i w Polsce.

DR H. G. TITZ.

Mr Samuel Pickwick.

W stulecie znakomitego dzieła Dickensa.

Kto go raz poznał — nigdy nie zapomni!... Owego prostodusznego, dobrotliwego — choć mającego swoje fochy — starszego pana z łysinką, nakrytą niskim melonikiem, odzianego w krótkie spodnie dopełnione czarnemi kamaszami, z zarzutką przewieszoną na prawem ramieniu i z walizką w lewej ręce. Któremuż z czytelników nie udzielił się duch młodzieńczy **Mr. Pickwicka** i zawsze pogodny humor, a także gołębie serce, instynktownie czułe na wszelaką niedolę? Postać Mr. Pickwicka, stworzona w genjalnie natchnionej chwili przez młodego, bo zaledwie 23-letniego Dickensa, — żyje po dziś dzień i czaruje nas i niewątpliwie żyć i czarować nie przestanie.

Myśl napisania „Klubu Pickwicka" (a właściwie „Papierów pośmiertnych, pozostałych po Klubie Pickwicka" — **„The Posthumous Papers of the Pickwick Club"**, jak brzmi oryginalny tytuł) powziął Dickens w r. 1835 i natychmiast począł ją zamieniać w czyn, — tak, że już z końcem marca roku następnego mógł pojawić się (narazie pod pseudonimem autorskim „B o z") pierwszy zeszyt powieści z wspaniałemi ilustracjami R o b e r t a S e y m o u r a. W miarę jak w odstępach miesięcznych wychodziły dalsze zeszyty — popularność dzieła szybko wzrastała. Dość powiedzieć, iż podczas gdy pierwszy zeszyt wydrukowano tylko w 400 egzemplarzach — zeszyt XV rozszedł się momentalnie w nakładzie przeszło 40 tysięcy egzemplarzy; w r. 1837 druk powieści ukończono. Możemy sobie wyobrazić jak cennem, a raczej bezcennem jest obecnie owo zeszytowe I-sze wydanie „Klubu Pickwicka". Zwłaszcza początkowe zeszyty, odbite w szczupłej ilości egzemplarzy, były już w okresie ukazywania się dzieła niedostępne; zeszyty sczytywano doszczętnie.

Odnośnie do koncepcji powieści wypada nadmienić, iż właściwie — jak zaznacza Dickens w swej przedmowie — pierwotny plan dzieła polegał na tem, iż — stosownie do życzenia nakładcy — autor miał otrzymywać od rysownika gotowe ilustracje i do nich dorabiać tekst. Tymczasem przedwczesna śmierć artysty — zaledwie po dostarczeniu kilku rysunków — zmieniła zamierzenie. Dalsze ilustracje, tworzone głównie przez Mr. H a b l o t B r o w n e a (pseudonim „P h i z"), powstają już na podstawie tekstu — co niewątpliwie wyszło powieści na korzyść. Tyle o genezie utworu, który jest i pozostanie nie tracącym blasku klejnotem nietylko w skarbcu literatury angielskiej. Jego bohater, Mr. Pickwick, bowiem istotnie żyje — i to jest charakterystyczną cechą genjalnych postaci literatury. Nawet na chwilę nie możemy przypuścić, by Mr. Pickwick nie istniał. To wyimaginowane życie jest dla nas czemś conajmniej równie realnem, jak faktyczny żywot różnych historycznych postaci mniej lub więcej udatnie wskrzeszanych w ciągle jeszcze modnych „Vies romancées". Więc skoro genjusz poety tak pięknie potrafił wlać życie w twór swej imaginacji — czyż moglibyśmy zaprzeczyć istnienia temu, co widział ów genjusz?

Towarzyszymy tedy Mr. Pickwickowi w jego przygodach i wędrówkach, które odbywa z trzema członkami założonego przez siebie klubu. Są to panowie **Winkle**, blagier sportowiec, kiepski myśliwy i fatalny jeździec; poeta — a raczej pozujący na poetę — **Snodgrass** i flirciarz, epikurejczyk **Tupman**. Dwaj pierwsi są młodsi wiekiem od Mr. Pickwicka, trzeci raczej równy. Występują na początku powieści na pierwszy plan, przed swym seniorem. Dopiero później, gdy Dickens — nie związany ilustracjami — mógł w pełni wznieść się na skrzydłach imaginacji, rola główna przypadnie Mr. Pickwickowi i — last not least — drugiej kapitalnej postaci powieści — Sam Wellerowi, czyścibutowi w zajeździe pod „Białym Jeleniem", przyjętemu następnie za służącego przez pana prezesa. Ta druga właśnie postać, wyrysowana con amore przez Dickensa, rywalizuje o lepsze z bohaterem tytułowym i niewątpliwie jej wprowadzenie przyczyniło się do olbrzymiego sukcesu powieści.

Sam Weller, wychowanek bruku londyńskiego, musi z natury rzeczy nie posiadać szczytniejszych zasad; jest cięty w języku i lubi pieniążki. Lecz genjusz Dickensa obdarzył go z drugiej strony rysami dodatniemi. Wierny swemu panu, nieraz ratuje go z opresji a nawet, dobrowolnie rezygnując z wolności, dzieli z nim niedolę więzienia dłużniczego.

Ponadto powieść zawiera szereg postaci drugoplanowych. Warto wymienić starego **Wardle**, typowego angielskiego ziemianina, o pogodnem usposobieniu i anielskiej dobroci; **Alfreda Jingle**, awanturnika, człowieka o marnym charakterze; **Job Trottera**, chytrego lisa i hipokrytę, który umie nawet łzy ronić, gdy sytuacja stanie się ciężką; **Tony Wellera**, ojca Sama, woźnicę, postać wielce komiczną.

Stosownie do tradycji literackiej, źle obszedł się Dickens z prawnikami i lekarzami. **Messers. Dodson et Fogg**„ to para adwokatów oszustów, a **Solomon Pell**, „przyjaciel Lorda Kanclerza", to obrońca sądowy od mętnych spraw; **Bob Sawyer i Ben Allen**, to znów para zapitych medyków, choć — swoją drogą — później wyrzekających się nałogu.

Ze wszystkich postaci może najwięcej rysów ujemnych posiada charakter **Stigginsa**, pomocnika pastora, który co innego głosi, a co innego czyni.

W powieści nie występują naogół wybitniejsze postacie niewieście. Zapewne dlatego, iż młody Dickens mało miał sposobności do obserwowania kobiet a figurek papierowych kreślić nie chciał. Z drugiej strony należy zauważyć, iż niewiasty angielskie, w szczególności ze sfer ludowych i mieszczańskich, z początku XIX w. pozostawały raczej w cieniu gospodarstwa domowego.

Dodatnio wypadł charakter **Arabelli Allen**, córki lekarza, subtelnej i pięknej panienki, „w bucikach futerkiem lamowanych", w której zakochał się niecny Mr. Winkle i następnie poślubił tajemnie ku zmartwieniu rodzica, no i oczywiście czytelnika. Natomiast **Mrs. Bardell**, wdowa po poborcy skarbowym, to „dobry numer". Zapewne na zasadzie, iż życzenie rodzi myśl, mylnie interpretuje zdawkowe oświadczenie Mr. Pickwicka, swego lokatora, iż pragnąłby przyjąć za służącego Sam Wellera, w duchu oświadczenia się o swą rękę. Mrs. Bardell mdleje, a gdy po „oprzytomnieniu" dowiaduje się prawdy, wpada w złość, pragnie zemsty. Podniecona przez spółkę adwokacką Dodson et Fogg, oraz przez swoje kumoszki, skarży biednego Mr. Pickwicka o złamanie przyrzeczenia małżeńskiego, choć — jak sama przyznaje — wiele od niego dobrego doznała. Sprawa psuje Mr. Pickwickowi wiele krwi i podrywa na pewien czas jego dobre imię.

Przez różne machinacje adwokackie Mr. Pickwick proces przegrywa: zostaje zasądzony na zapłacenie odszkodowania. Woli jednak dostać się do więzienia za długi, niż babie zapłacić urojoną pretensję. Ponieważ jednak Mrs. Bardell, nie otrzymawszy odszkodowania, nie ma z czego pokryć swych kosztów procesu — i ona skolei znajdzie się w więzieniu. W końcu dobrotliwy Mr. Pickwick płaci wszelkie koszta tak za siebie, jak i za swą przeciwniczkę — i obydwoje odzyskują wolność. Teraz Mrs. Bardell, uleczona ze swych zachcianek małżeńskich, zadawalnia się dalszem podnajmywaniem pokojów umeblowanych „rozmownym" kawalerom.

Wszystkie charaktery swej powieści, nawet najbardziej ujemne, Dickens umie obdarzyć jakiemiś właściwościami dodatniemi, przez co czyni je bardziej ludzkiemi i godnemi rozgrzeszenia. Niewątpliwie niektóre są przerysowane, zbliżone do postaci z farsy, jednak zdaje się, że autor uczynił to rozmyślnie, by wzmocnić reakcję u czytelnika na wady charakteru w pewnych warstwach swego narodu — i zrobił ze skutkiem.

Nie zamierzam opisywać tu dziejów sportowo-turystycznego klubu Mr. Pickwicka, pragnąłbym tylko zaciekawić tych, którzy nie mieli sposobności wglądnąć w „Pośmiertne Papiery" klubu i zachęcić, by książkę tę jak najrychlej wzięli do ręki, — a także ożywić kontakt z klubem tych, którzy już są jego zwolennikami, gdyż zaiste „Klub Pickwicka" jest jednem z niewielu dzieł, którego nie można nie poznać i nie polubić, by już potem nigdy się z niem nie rozstać.

Arcydzieło Dickensa przepojone jest całe owym słonecznym, głęboko ludzkim humorem — tak właściwym rasie angielskiej. Nie znaczy to jednak, by znalazły w niem miejsce jedynie sceny wesołe. Znajdziemy tam dość smutnych epizodów jak n. p. sceny w zmiankowanego już kilkakrotnie więzienia za długi. Dickens bowiem nie tylko chciał dziełem swem zabawić czytelnika, ale także skłonić opinję publiczną do zastanowienia się nad niedomaganiami społecznemi. jakich za jego czasów nie brakowało w Anglji. Jednak cel swój pragnął osiągnąć nie za cenę podzielenia i skłócenia ze sobą warstw społecznych, lecz raczej przez zaapelowanie do ludzkiego człowieczeństwa. Misji tej poświęcił poza „Klubem Pickwicka" cały szereg innych utworów i rzeczywiście celu dopiął. Anglja bowiem dzięki Dickensowi i innym działaczom społecznym o podobnych intencjach była pierwszą w Europie, która mimo wszechwładnie panującego liberalizmu gospodarczego zaczęła operować wrzody na ciele społeczeństwa. Dlatego też w Anglji, tej fortecy liberalizmu, nigdy na dobre nie mógł rozwinąć się marksizm ortodoksyjny.

Piśmiennictwo angielskie XIX wieku odegrało zatem chlubną rolę społeczną, podobnie jak nasza literatura tego samego okresu spełniła swe zadanie patrjotyczne, należycie przygotowując umysły i serca na wielkie wypadki polityczne, które miały zrealizować tęsknotę za straconą niepodległością. Obecnie, gdy niepodległość stała się faktem, przed literaturą polską rozwarła się pustka. Zapełni ją jedynie wówczas, gdy na nowo zacznie spełniać swe zadanie wobec społeczeństwa, gdy skolei, nie wstydząc się wziąć wzoru ze starszej swej siostrzycy angielskiej, przyłoży lancet operacyjny do zachorzeń, które są przyczyną obecnej niemocy społecznej. Literaturze winna przypaść rola zwalczania t. zw. kryzysu moralnego jaki parliżuje wszelkie poczynania społeczne — a to jedynie przez zbliżenie ludzi poprzez piękną i twórczą ideę chrześcijańskiego człowieczeństwa. Zresztą przyjąwszy na siebie to zadanie, literatura postąpi po myśli swego własnego interesu, podyktowanego instynktem samozachowawczym. Inaczej straci do reszty kontakt ze społeczeństwem. Książki będą nadal pod sufit zapełniać półki księgarskie, czekając na miłosiernych odbiorców w okresach „Tanich Tygodni" — a wreszcie, gdy i tych nie starczy — wędrować do kramów w postaci papieru pakunkowego pośledniego gatunku.



HENRYK UZIEMBŁO.

Wspomnienie

z „Domu el Greco" w Toledo.

W szeregu odczytów, urządzonych przez Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Narodowego w Krakowie, — zwrócił uwagę swoją treścią i formą, a nawet ze względu na ostatnie wydarzenia w Hiszpanji, — aktualnością, odczyt wygłoszony w Muzeum Narodowem w Sukiennicach w Krakowie, przez znanego krakowskiego artystę malarza, prof. Henryka Uziembłę, p. t. „Sztuka Hiszpańska". W części poświęconej malarstwu, omawiając szereg hiszpańskich mistrzów, świetny prelegent, przedstawił w skrócie sylwetkę el Greca, na tle panoramy współczesnego Toleda. Ten fragment odczytu podajemy naszym czytelnikom. — (Uw. Red. „Głosu Narodu").

Zagłębiać się we wspomnienia Toleda, rzecz zaiste niebezpieczna! Zwłaszcza dla nas malarzy. Przedziwne to miejsce, niechby tylko raz jeden oglądane, ciągnie już ku sobie, magnetyczną siłą.

Bezcenne skarby arcydzieł rzeźby, budownictwa, malarstwa, w jedną związane całość, i to całość nie muzealną, zimną, sztywną, ale zgrupowane żywo, drgające i tętniące krwią żywych ludzi, biorą nas w tem zaczarowanem mieście, odrazu w swoje posiadanie. W którą stronę zwrócisz oczy, gdzie tylko postawisz sztalugę, już ci się rodzi, bracie miły, — gotowy motyw. I to motyw potężny! Motyw o nieprzeczuwanym fantastyczno - dekoracyjnym przepychu.

Od prostego „patio", skromnego, szarego człowieka, — ubogiego szewca, kowala, czy cieśli, — do wspaniałych podworców bogaczy, czarujących alkazarów arabskich, bajecznych starych bóżnic żydowskich, arystokratycznych pałaców grandów, milczących, zadumanych klasztorów miejskich i kościołów wspaniałych, — ukoronowanych jak Kraków Wawelem, — potężną „Pierwszą Katedrą" całego Państwa. „El Catedral Primada" (jakże blado i anemicznie przez Blasco Ibaneza w znanej jego powieści opisaną), — wszystko to razem, przemawia do nas w Toledo, wielkim, a żywym głosem.

Architekt, czy rzeźbiarz, znajdzie tam nieprzebraną skarbnicę i pole do studjów, — a zwłaszcza malarz! Bowiem skarby malarskiej sztuki, jakie kryją tamtejsze klasztory i muzea, nadewszystko zaś zbiory kościelne, zaiste są niewyczerpane.

Z cudzoziemców, — Tycjan, Giovanni Bellini, Bassano, Rubens, Van Dyck, (wszyscy tu gościli i wszyscy pracowali, w onych czasach, kiedy - to potężna mocarstwowo, Hiszpanja, mogła pozwolić sobie nietylko na sprowadzenie mistrzów z dalekich krajów, ale i opłacanie dzieła ich rąk, na wagę złota). Zasię z rodzonych jej synów, nie brakuje tu prawie że nikogo. Nawet Velasqueza. Sama tylko jedna katedra, a już mieści w sobie cały konglomerat muzeów (Tesoros y Museas), za jakie uważać należy jej skarbiec (tesoro mayor), kapitularze i niezliczony szereg onych wszystkich „sacristias", „salas de Ropasy Vestuarios" i „antesalas" i „antesacristias". W tem wszystkiem, błyszczy przepychem klejnotów, — słynny toledański „Relicario" i wreszcie „Museo de la Capilla de Rojas o San Pedro". Wymieniłem jeno cząstkę, i to wymieniłem bardzo pobieżnie.

A teraz, wyobraźmy sobie Jej ściany arcydziełami sztuki ozdobione!

Niebosiężne ściany, wnętrza katedry!!

Z potrzeby mistycznej hiszpańskiego ducha, surowy gotyk królów katolickich, zamurował strzeliste okna i maswerki hiszpańskich świątyń. W posępnym mroku wnętrz kościelnych, nikną więc i giną, największe nawet arcydzieła, i pędzla i dłuta. Chciwe oko, schwyci czasami jakiś potężny fragment el Greca, Ribery, Goyi czy Montaneza, ale tylko fragment. Całości tych często gigantycznych wymiarów dzieł, badać można dopiero, i studjować cierpliwie, na świetnych zdjęciach fotograficznych, — bardzo sztucznie, a zmyślnie zdejmowanych. Zdjęciach, jakie na szczęście można znaleźć w Toledo w wielkiej obfitości.

. . . .

Indywidualnością odosobnioną, prawdziwym fenomenem hiszpańskiej sztuki XVI-go wieku — jest Greco.

Artysta, co przeczy tak modnym obecnie suggestjom rasizmu, — el Greco, który burzy wszelkie teorje o tak zwanych związkach krwi. Mimo, że obcej narodowości, Domenico Theotokopuli, krajan zmarłego niedawno Venizelosa, bo Kreteńczyk z urodzenia, dlatego zwany „el Greco", — nietylko ciałem i duszą należy do najbardziej rasowego hiszpańskiego malarstwa, ale narówni z rodowitymi hiszpanami, jak Goya czy Velasquez, jest budowniczym jego sławy.

Wykształcony we Włoszech, — w Wenecji i Rzymie, wyszkolony w rzemiośle malarskim u Tycjana i Tintoretta, — przybywa do Hiszpanji, w nadziei wzięcia udziału w olbrzymich pracach dekoracyjnych, nad ozdobieniem królewskiego Escorialu. Przybywa jako 30 - letni malarz do Toledo. Bajeczne kastylijskie miasto pochłonęło greckiego artystę, bo już nie opuszcza go, aż do śmierci. (Urodzony w roku 1547, — umarł w roku 1614).

Chcąc dobrze poznać zadziwiającego malarza, nie wystarczy oglądać go w Galerji del Prado w Madrycie, czy w Muzeum Sztuki w Sewilli, gdzie tak w jednem, jak i drugiem mieście, jest znakomicie reprezentowany. — Trzeba koniecznie odbyć jeszcze pielgrzymkę do Toledo, by zwiedzić jego muzeum i dom „Casa del Greco", co mogą być wzorem dla wszystkich narodów, jak należy pokazywać zbiorowe dzieło życia, zmarłych wielkich mistrzów.

Dom Greca, jest świetnie urządzoną częścią pałacu Markiza de Villena, którą mistrz rzeczywiście w XVI wieku zamiesz-

Wypracowania szkolne w Rosji i we Francji.

Jedno z francuskich czasopism podało próbkę nauczania w powszechnej szkole sowieckiej. Jest to przedruk z humorystycznego czasopisma „Krokodil“, wydawanego w Moskwie przez oficjalny koncern prasowy „Prawdy“.

DYKTAT NAUCZYCIELA.

Na skutek traktatu wersalskiego, Abisynja pozostała w Afryce. Małorolni tego kraju przyczyniają się do tego, że klimat jest w nim gorący, a wybrzeże morskie nierównomiernie pocięte. Wpływ zagranicznego kapitału widocznym jest w produkcji zbóż, których kraj nie produkuje. Brak oceanu w pobliżu utrudnia połów ryb, jak i kulturę rybną. Od pewnego czasu Abisynja znajduje się między 52 stopniem długości północnej a 31 stopniem szerokości południowej, lecz ta ostatnia (szerokość) jest częściowo pod wpływem kapitału anglo-francuskiego, **gdy ta pierwsza przechyla się ku** ekspansji włoskiej. W lasach tropikalnych znajdujemy węże, księży, kobry, skórę, naftę i klikę wojskową, która kieruje życiem umysłowem kraju. W świecie zwierzęcym, należy wyszczególnić zwierzęta o jednej racicy i inne które ich mają więcej. Między roślinami najczęściej znachodzą się krótkopienne, ale są i inne. — Nie widzi się uprawy cebuli, na skutek przesądów religijnych.

Wpływy feodalnych afrykańskich książąt z ubiegłego wieku dają się odczuwać w architekturze wielkich miast, które nie istnieją w kraju. Ludność Abisynji jest o 43,036 procent gęstsza od ludności wysp Bermudów, które są przedmiotem pożądania polityki kolonjalnej. Klimat kraju jest lądowy, morski, suchy i mokry.

PYTANIA.

1. Jakie są szczególne rysy Abisynji? — 2. Wskazać związek między dawnemi książętami feodalnymi a przyszłością Abisynji. 3. Wymienić klimat Europy. 4. Jak wytłómaczyć lasy tropikalne? Czy jest ciągły stosunek między wyspami Bermudami a imperjalistycznym rozwojem Abisynji? — W przemyśle? W technice? W religji?

ODPOWIEDZI UCZNIÓW.

Abisynja znajduje się między traktatem wersalskim, wybrzeżem morskiem, a kapitałem anglo-francuskim i wyspami Bermudami. W kraju tym znajduje się nafta, zwierzęta jednoracicowe i ekspanja włoska. — Również i świat zwierzęcy i dawni książęta feodalni. Posiadłości kułaków mają 43.036 proc. więcej, niż szerokość północna, która również jest w stałych stosunkach. Niskopienne drzewa nie są zdatne do budowy. Abisyńczycy (sam o tem czytałem) mają skórę ciemnego koloru, ale mali Abisyńczycy mają jaśniejszą o 43,036 proc. Jest to napewno skutek ekspansji włoskiej Anglo-Francuzów.

TAKŻE WE FRANCJI.

Satyryczny ten elaborat ma sens oczywiście ten, że szkoła rosyjska przez swój proletarjacki marksizm zniekształca prawdziwą wiedzę. Ale warto też podać kwiatki poziomu nauki z drugiego kąta Europy, z Francji. Kwiatki te, jako autentyczne, podaje paryski dziennik „Paris-Midi“. Podobno wszystkie te „byki“ szkolne znalazły się w różnych wypracowaniach uczniów tzw. prymusów. Podajemy tylko parę z nich.

„Łatwo zrozumieć popularność papieża Grzegorza Wielkiego, który żywił wieśniaków dając im do uprawy pola: sławne pola „gregorjańskie“ (w tekscie francuskim champs — pola, zamiast chants — pieśni).

„Kalwinowi zawdzięczamy, że kina były zniesione w Genewie“

„Główni bogowie egipscy byli: Ozyrys, Annubis i Autobus“.

„Klodwig ustawowo zatwierdził ustawą „słone prawo“ (w tekscie loi salée — słone prawo, zamiast loi salique — prawo salickie).

„Egipcjanie pisali na papierze rosyjskim (w tekscie papier russe — papier rosyjski, zamiast papyrus — papirus).

„Dancing jest jednem z najgłówniejszych miast polskich“ (Dancing zamiast Dantzig — Gdańsk).

Inny dziennik paryski „Le Jour“ podaje też obfitą listę różnych ucieszych powiedzonek, padających z trybuny parlamentarnej we Francji, a nie bardzo pochlebnie świadczących o kulturze umysłowej tego kraju. Ale ponieważ i u nas takie rzeczy zdarzają się, więc lepiej, dajmy spokój...

DR S. M. MAZURKIEWICZ.

Życie kulturalne w Czechosłowacji.

Nakładem warszawskiego wydawnictwa „Nowa Powieść“ ukazało się w księgarniach (skład główny „Dom Książki Polskiej) studjum o **Czechosłowacji współczesnej, pióra Dra. M. Bohrera** (str. 188). **Czytelników polskich specjalnie zainteresuje rozwój ujęcia kulturalnego we wszelkich** jego dziedzinach w 15-stoletnim okresie państwowej samodzielności narodu czechosłowackiego. I tak, **działalność wydawnicza** jest w Czechosłowacji bardzo ożywioną i odpowiada wysokiemu poziomowi oświaty ludności miejskiej i wiejskiej, jakoteż urozmaiconej strukturze narodowościowej państwa. Charakterystycznem jest, że wydawnictwa obejmowały nietylko książki w językach narodów, zamieszkujących państwo, ale i w innych językach europejskich i pozaeuropejskich (w roku 1931 wydano ogółem 5.900 książek).

Wysoki jest stan czasopism, wydawanych w Czechosłowacji o treści politycznej, socjologicznej, literackiej, naukowej i ogólno-kulturalnej (950 perjodycznych czasopism, w tem 54 dzienników).

Produkcja filmowa wykazuje stały rozwój. W ostatnim roku nakręcono we własnych krajowych zakładach filmowych 274 filmów rodzimych. Rząd czechosłowacki popiera usilnie krajową produkcję i jest współwłaścicielem wspomnianych zakładów. W całem państwie istnieje 247 kinoteatrów, urządzonych dla około 130.000 widzów.

Teatry czechosłowackie mają wielką tradycję; stanowiły one w czasach niewoli nietylko miejsce rozrywki, ale i centra, z których promieniowały w społeczeństwo uczucia narodowe. Naczelnym teatrem w stolicy państwa jest **Teatr Narodowy** (Narodni Divadlo). Poza tem prawie każde miasto w Czechosłowacji posiada własny teatr, uprawiający poważny, rodzimy i międzynarodowy repertuar. Ogółem jest w kraju ponad 40 stałych teatrów i około 100 wędrownych. Sztuka aktorska i reżyserska należy do wysoko rozwiniętych.

Doskonale również przedstawia się **kultura muzyczna;** wiadomo, że naród czeski należy do najmuzykalniejszych wśród Słowian. Przedstawienia operowe i koncerty muzyczne są utrzymae na wysokim poziomie. Najwybitniejszymi kompozytorami muzycznymi są: **Smetana, Dworzak, Fibich,** ze współczesnych: **Viteslav Nowak, Suk i Foerster.** Mistrzowie ci rozszerzyli kult muzyki czechosłowackiej we wszystkich kulturalnych narodach świata. — Wirtuozami o światowej sławie są: **Kubelik, Kocian, Szewczik, Przihoda (skrzypkowie).**

Czechosłowacja posiada 56 muzeów, wyposażonych w bogate i wartościowe zbiory sztuki malarskiej, rzeźbiarskiej i graficznej, reprezentujących w pierwszym rzędzie wysoko stojącą sztukę rodzimą, a także wartościowe okazy sztuki międzynarodowej. Ponadto znajduje się w republice ok. 200 stałych wystaw i salonów sztuki, dających przegląd twórczości współczesnej. — Należy tu przypomnieć naszym czytelnikom, że Praga posiada zasobną w dzieła sztuki słowiańskiej **Galerję Karaska** (w skrócie Kargal), założoną przez czeskiego poetę **Jerzego Karaska** ze Lwowic i polskiego malarza **Włastimila Hofmana,** w której głównym jest dział polski.

Literacka twórczość Czechosłowacji daje obraz wytężonej wieloletniej pracy, odbywającej się pod hasłem osiągnięcia stopnia kultury innych narodów. Przez długi czas literatura czeska ulegała pod wpływem Niemców. Wiek 18-ty i początek 19-go dał Czechosłowacji cały szereg wielkich działaczy i pisarzy, którzy dla odrodzenia narodowego i pogłębienia ducha i poczucia narodowego położyli ogromne zasługi. Przedewszystkiem wymienić tu należy **Palacky'ego,** nazwanego ojcem narodu. Wspomnieć jeszcze należy, że w żadnym może narodzie **dziennikarstwo i publicystyka** nie były tak ściśle związane z kwestją narodową i pracą nad odrodzeniem narodu, jak w Czechosłowacji (np. publicyści **Edward Greger i Ladyslav Rieger).** Wiek 19-ty i początek 20-go przyniosły Czechom wielką trójcę poetów, **Svatopluka Czecha, Juljusza Zeyera i Emila Fridę,** piszącego pod pseudoni-

Surrexit Dominus de sepulcro.



kiwał. Przytyka do domu piękny terasowy ogród. Pod domem zaś ciągną się jeszcze rzymskie, potężnie sklepione lochy.

Staruszek custode, który mnie tam zaprowadził, tchórz zdaje się wcale znamienity, dzwoniąc ze strachu ostatniemi dwoma okrutnie spróchniałemi zębami, pokazywał niewesołe wnętrza, pełne podejrzanych szelestów spłoszonych nietoperzy, szurgających pod stopami jaszczurek, i bo ja wiem, jakich, — niemiłych szmerów i bardziej jeszcze nieprzyjemnych zapachów. Słowem najstosowniejszego tła dla wydarzeń, jakie w tych ponurych lochach się rozgrywały. Używał ich jako skarbca, słynny żyd, Samuel Levi, Wielki Podskarbi Pedra el Cruelle, — sławny prawie jak sam Rabbi Majmonides, i tu właśnie za jakieś ciemne sprawki, z rozkazu króla został tenże Levi stracony. Znajdujące się nad lochami muzeum, pełne światła, słońca i rafinowanego wykwintu, obejmuje belkowanemi stropy w artesonady kryte sale, mieszczące muzeum. Zawieszono tam kilkadziesiąt obrazów Greca. Dalej, — jego mieszkanie, i ciekawą dla zobrazowania, jak żyli, mieszkali i pracowali artyści XVI wieku, pracownię malarską mistrza.

Kiedy stajemy przed skromnem nad wszelki wyraz wejściem, w zacisznej bocznej uliczce, wita nas dwóch zaspanych staruszków, w spartańsko, lecz estetycznie urządzonej sieni, — gdzie nic jeszcze nie zapowiada zbliżających się wrażeń. Uwierzyć trudno, że te dwa dziady, to cała straż i jedyna obrona owych skarbów, które za chwilę oglądać będziemy. I to w czasach gangsterów, zbójów, bandytów i niepospolitych złodzieji wszystkiego, co tylko ukraść można, — z dziełami sztuki włącznie!

Nie wiele czasu trzeba, a już zapominamy w dostojnej ciszy wnętrza, o tanim zgiełku dzisiejszego świata. Ogarnia i działa na nas, czcigodna atmosfera domu wielkiego artysty.

Jak w retorcie chemicznej, stopił ten dom w swoich estetycznych wnętrzach, stopił cudownie... Afrykę z Europą. Wytworny duch Renesansu, miesza się tam doskonale z przerafinowaną cywilizacją maurytańską. A dziwną tę symbiozę, podziwiać można w proporcjach budowy, w dekoracyjnym nastroju i sentymencie komnat, w sprzętach i — w materjałach. Obojętne, czy patrzymy na boazerje ceramiczne (azulejos), czy podziwiamy szczerniałe, dyskretnie polichromowane stropy drewniane. Podkreślić należy, że wogóle rzeźba w drzewie zadziwia w całej Hiszpanji, doskonałością tcehniki, jak niemniejszym instynktem wyczucia możliwości materjału. Jest uderzającem, jak tamtejsi artyści inklinują do tego właśnie materjału. W polichronicznych zaś efektach, doprowadzili drewno, do krańcowych zaiste rezultatów!

Po kątach albo i pod ścianami, ustawiono drewniane ławy i siedzyska. I sepety! Czysto arabsko-afrykańskie, dobrze kowane, odwieczne skrzynie - kufrzyska.

Niewielką pracownię, oświetloną pokrzywionemi, w ołów oprawionemi szybkami, wypełnia taka cisza, że słychać brzęk muchy, zamotanej w zdradliwą sieć pająka, a konającej beznadziejnie gdzieś w którymś z mrocznych kątów, belkowanego stropu.

Na I-szem piętrze, wita nas uroczyście bajeczny „król“. Chudy król w olbrzymiej hiszpańskiej kryzie, jakby z żółtego wosku ulany. Król Jegomość blady jest jak sama śmierć! Tuż obok, pobrzękuje kluczami Św. Piotr, — jakże inny w typie i wyrazie, od Dürerowskich i włoskich świętych Piotrów!

A dalej patrzą na nas tym szczególnym wzrokiem, jaki tylko Theotokopuli umiał wymalować, portrety Xiążąt Kościoła, —

„Ubrane w alby, strojne w mitry,
Y opasane w święte stóły,
By niemi czarta za kark chytry
Chwytać, gdy skrada się zdradliwie!“

„El Crucificado“ i obraz przedstawiający św. Bernarda, oraz męskie podobizny, między któremi uderza postać budowniczego A. de Cavarrubias, — mówią przekonywująco, że tu znaleźliśmy się u źródeł wielu dzisiejszych prądów, panujących we współczesnej sztuce.

Na honorowem miejscu, w pierwszej sali, wisi większych rozmiarów płótno, przedstawiające przepyszną panoramę miasta, które sobie malarz tak umiłował. Jest to jeden z najpiękniejszych obrazów Greca. Samo w nim tylko kochanie! I to już w samej nawet fakturze widoczne!

Na pierwszym planie, wśród dekoru zwyczajem XVI wieku bogato skomponowanego, stoi nagi młodzieńczyk, z rozwiniętym planem Toleda w ręce. Planem z taką linearną precyzją i co podkreślić warto „olejno“ — wymalowanym, że żaden lakiernik, ba! — nawet Budownictwo miejskie naszego Magistratu, nicby tu nie miało do gadania. Figura chłopca, — to sportretowany w akcie, syn Greca — Manuelito. Artysta, jakby przeczuł losy synalka, — który istotnie został znakomitym architektem, a jedna z wież toledańskiej katedry dźwiga barokowy hełm, przez Manuela zaprojektowany.

Uczucie religijne, z niesłychaną siłą przenika i wyzwala się w uduchowionych wizjach, plastycznego dzieła El Greca! Umiał doprawdy ten spirytualista odrywać wszelki plastyczny kształt, od wszelkiej ziemskiej rzeczywistości. A jak powiedział jeden z francuskich historyków sztuki, — „Dzieło Greca, jest najpotężniejszym resonansem, katolickiej kultury XVI wieku“.

Mimo-to wielki schyłkowiec, nie był drogowskazem dalszemu rozwojowi hiszpańskiego malarstwa. Greco jest raczej prekursorem, i to wielu dzisiejszych skrajnie modernistycznych kierunków.

Sztuka malarska Hiszpanji, sztuka klasyczna, „narodowa“, sztuka, której przeznaczeniem było osiągnąć najwyższe szczyty swojego rozwoju, w już zbliżającym się szybko XVII wieku, — znalazła sobie zupełnie inne drogi.

mem **Jaroslava Vrchklicky'ego.** Najpopularniejszym przedstawicielem powieści społecznej jest **Ignacy Herman,** historycznej **Jirasek.**

U wrót odzyskania swobody narodowej należy wymienić z całego szeregu wybitnych pisarzy, publicystów i działaczy, wielkiego poetę **Machara** krytyka i filozofa F. X. Szaldę, a przedewszystkiem filozofa i męża stanu T. G. **Masaryka,** z poetów **Ottokara Brzezinę, Viktora Dyka, Durycha, Karola Czapeka, Ottokara Fischera, Jerzego Karaska ze Lwowic,** Sowę i wreszcie **Olbrachta, jednego z najmłodszych.**

Ogólnym rysem, charakteryzującym całą współczesną twórczość literacką w Czechosłowacji, jest silne poczucie demokratyzmu przy wielkiem przywiązaniu do tradycji oraz zainteresowanie twórczością innych narodów słowiańskich.



ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Pod kierunkiem inż. Braumanowej

Czł. Kl. Szar.

I. LOGOGRYF.

Z podanych poniżej sylab ułożyć 19 wyrazów, których pierwsze i ostatnie litery dadzą rozwiązanie.

Sylaby: a, am, ba, ca, ca, cen, cent, cu, czwar, dło, dor, dzi, e, ga, ho, im, ja; jum; jusz, li, lus ła, ład, mun, niec, o; per; pil, pu; ry, rzy, sa, sa, sal; sta, stry; sty; świ, ta; tek; tłu, tor, tre, ty, wa, we, wę, wód, ym, za; za, zuw, zwie.

Znaczenie wyrazów: 1. wulkan, 2. kolonja włoska w Afr., 3. Zbawca, 4. rodzaj małża, 5. porządek, 6. ostatni (wsp.) 7. „włosy" w martwym jęz., 8. sztuczny człowiek, 9. gatunek tytoniu, 10. częśś uprzęży, hamulec. 11. państwo, mocarstwo, 12. przedstawiciel poseł, (a—ą), 13. niechudy, 14. fach, rozczarowanie, 15. skrót instytucji dobroczynnej, 16. nazwa dnia, 17. ogród zool., 18. imię męskie (wspak), 19. jarzyna wios.

II. ŁAMIGŁÓWKA.

X							
	X						
		X					
			X				
				X			
					X		
						X	
							X

Znaleźć 8 wyrazów, o podanem poniżej znaczeniu i wpisać je do zamieszczonej figury. Litery, wypadające w miejscach krzyżyków, dadzą rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy litery: 15A, 1B, 2C, 1D, 5E, 1G; 1I; 2J; 1K, 5L, 1M, 3N, 4O, 1P, 6R; 4S; 4T, 2U, 4W, 1Z.

Znaczenie wyrazów: 1. wróżbita, mag. 2. roślina z doz. toinowatych, 3. dwuznacznik, 4. prowincja w Hiszp., 5. Towarzysz, trabant, 6. przygoda, burda, kłótnia, 7. pochód uroczysty, 8. miasto w Polsce.

III. ARTYTMOGRAF.

Po odgadnięciu słów pomocniczych, cyfry tekstu zastąpić literami, które dadzą aktualne rozwiązanie.

Tekst.

4, 1, 21, 13, 8, 5, 9-2, 22, 11, 22-17, 20, 19, 5.
17, 19, 14, 11, 22-7, 21, 1, 16-8-
15, 5, 11, 13, 14-21, 16, 23, 1, 17, 10, 20-
4, 23, 8, 18-17, 1, 12, 14, 19, 13, 8, 5-
10, 16, 22, 23, 22, 17, 14, 21, 5-2, 1, 2, 10, 8-
10, 16, 6, 3, 8, 12-23-15, 8, 1, 17 10, 20.

Słowa pomocnicze.

1, 2, 17, 19, 22, 13; 5; 13; 5; 13; 5; 9=wstrzemięźliwość.
15, 16, 23, 22, 10, 11, 1, 4=wzór.
7, 1, 16, 12, 14, 13, 19=rodzaj druk.
14, 21, 8, 4, 9, 20; 17; 23=poeta rzymski.

IV. PRZEKŁADANKA.

A	P	B	N	O
I				I
A		10. IV. 1831 r.		I
G				D
M	W	I	A	T

Przeskakując stale jedną i tę samą ilość pól, należy odczytać rozwiązanie. będące w związku z datą zamieszczoną w środku.

V. ZAGADKA SZARADOWA.

Gdy **drugie-trzecie czwarte-piąte pierwsze**
Nikt na **całości** napewno nie zyska,
Bo to nie akta, powieści, ni wiersze.
A tylko stare, brudne papierzyska.

VI. PRZESUWANKA.

1	2	3	4	5	6	7	8	9
T	Ż	S	M	I	S	P	J	O
E	I	A	N	I	U	M	P	Y
K	C	Y	T	Ń	A	W	D	B
W	I	G	K	E	E	I	U	C
L	M	I	C	A	E	Z	U	E
Z	E	E	Z	S	U	G	I	N
S	U	A	W	E	E	I	W	Z
E	E	R	E	P	Z	M	C	Ł

Podane powyżej 9 kolumn ośmioliterowych należy poprzesuwać, nie zmieniając ich porządku, w górę, względnie w dół, w ten sposób, aby w kierunku poziomym można było odczytać aforyzm polskiego autora.

VII. SZARADA.

Nie **pierwsze-drugie** swego gniazda przecie,
Zamiast pamfletu dając Wam szaradę:
Pierwsze — to głoska w naszym alfabecie,
Drugi — to pisarz, ma humor i swadę.
Gdybym miast szarad pisywał pamflety,
To **pierwszej-czwartej** nie uniknąłbym za to
I zamiast nagród, pochwał i podniety!
Tylko pogarda byłaby zapłatą.
Więc nie chcą zatem, jak kot **trzeci-czwarty.**
Do ciemnej nory schować się na stałe,
Wolę szarady, wolę płoche żarty
I, jednem słowem, wolę pisać **całe.**

VIII. CO CZYTAĆ?

Ług—odra—nos=
Opus—lilja—car—skat=
Wrzawa—kruk—rejs—si=
Ono—lipa=
Sto—rozum—post=

Za rozwiązanie wszystkich zadań z niniejszego numeru, Redakcja przeznacza nagrodę w drodze losowania. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 26 b. m. Ważną — data stempla pocztowego. Rozwiązania należy przesyłać pod adresem Redakcji dla „Działu Rozrywek Umysłowych", dołączając poniższy kupon.

Sprostowanie: w zadaniu Nr. 4 (arytmograf) Dodatku „Tydzień" z dnia 5 b. m. wkradła się omyłka w słowach pomocniczych, a mianowicie: 2) **ma być imię słowiańskie,** zamiast księcia litewskiego, co niniejszem prostujemy i przedłużamy termin nadsyłania rozwiązań do dnia 19 b. m.

KUPON NR. 2.
ważny do dnia 26. IV. b. r.



ROZMAITOŚCI.

Jak powstaje „dług honorowy".

Sławny **admirał amerykański — Paweł Jones,** przybył swego czasu do Paryża, poświęcając swój pobyt przeważnie różnym zakupom. Licząc na swoją sławę i spotykając się z dużą popularnością uważał, że nic potrzebuje się tak bardzo martwić regulowaniem rachunku. Początkowo kupcy nie upominali się o gotówkę, po upływie miesiąca jednak postanowili zażądać uregulowania rachunków. Gdy i to nic nie pomogło jeden za drugim przychodził do hotelu, żądając należności. Każdy z nich był oddalany po wysłuchaniu oświadczenia admirała, które brzmiało wcale nie zachęcająco: „Niestety w tej chwili nie mam ani jednego franka do dyspozycji". Jeden z wierzycieli **był** jednak mądry i dowcipny. Gdy mu **admirał** oświadczył, że nie ma pieniędzy, podobnie jak to mówił wszystkim, odrzekł ten: „Panie admirale, właśnie w tej chwili widziałem, jak pan zapłacił 1000 franków i wcale to pana nie zrujnowało". Admirał odrzekł z miejsca: „To był jednak dług honorowy.". „Ach tak..." — odrzekł kupiec. „Wobec tego pan pozwoli, że ja będę mieć również u pana dług honorowy". I w tej chwili wrzucił do pieca rachunek admirała. Płonący ogień strawił rachunek, a zawstydzony admirał natychmiast uregulował należność.

—oo—

Walka o zdrową i czystą wodę.

Ostatnie lata wykazały, o jak olbrzymiem znaczeniu są wszystkie poczynania władz, czy też specjalnych towarzystw, mających na celu dostarczanie obywatelowi zdrowej i czystej wody. Technika pod tym względem wykazała bardzo duże postępy, tak, że cały szereg — przedewszystkiem i to niestety tylko miast — ma możność **dostarczania swoim mieszkańcom wolnej od wszelkich bakteryj wody.**

Lecz nawet daleko posunięte, najnowocześniejsze udoskonalenia, zastosowane przy filtrach, nie uchroniły wody, aby od czasu do czasu nie była zaatakowana przez takie, czy inne bakterje. Ostatnio w Niemczech dokonano niezmiernie ciekawej próby. Oto poraz pierwszy zastosowano jako kontrolę nad czystością pełną wody „oko elektryczne". Specjalnie skonstruowany aparat, w razie skonstatowania najmniejszych nowych bakteryj czy obcych ciał w wodzie, „melduje" natychmiast wtargnięcie ich do filtrów, umożliwiając natychmiastowe pobranie prób i uwolnienie następnie wody od niepożądanych, a tak często bardzo szkodliwych „gości".

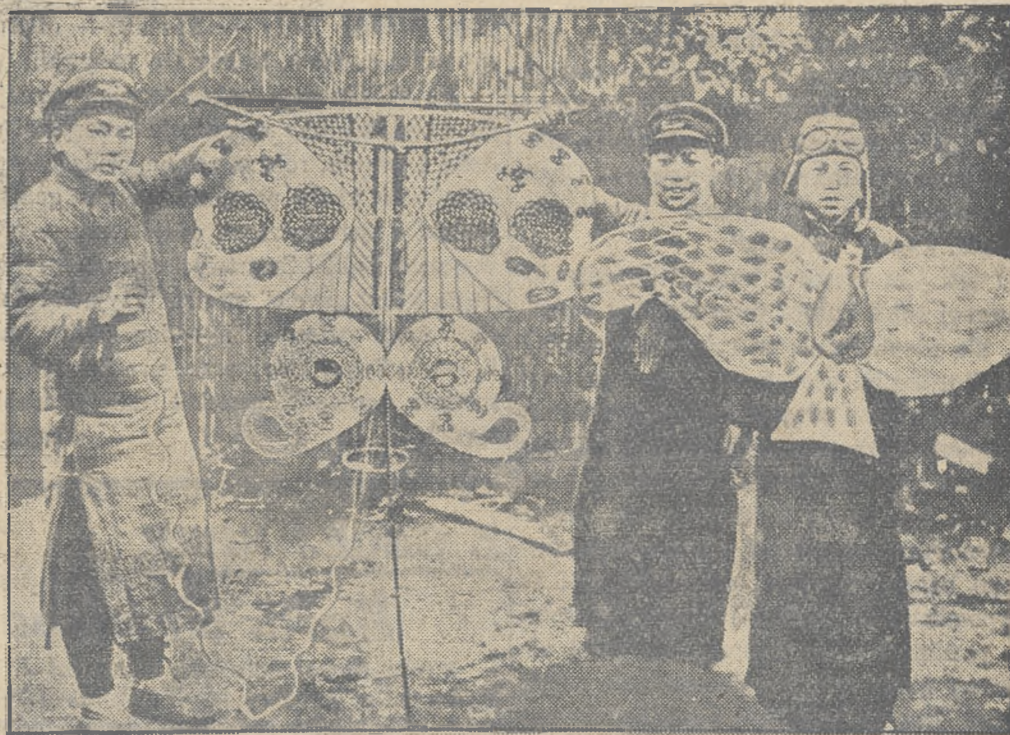
Nowy wynalazek ma duże znaczenie, gdyż „oko elektryczne", pracując bez przerwy, stać będzie odtąd na straży i na tym odcinku dobra ludzkości, podejmując pewną i skuteczną straż przeciw tej inwazji mikrobów za pośrednictwem wody do organizmu ludzkiego.

Kolosy morskie.

W ostatnich latach rozpoczęły walkę o „błękitną wstęgę" nowe kolosy morskie. Mimo spuszczania w dokach najnowocześniej zbudowanych transatlantyków, „błękitna wstęga" **znajduje się w posiadaniu „Normandie" z 79 tysiącami ton.** „Queen Mary" posiada bowiem tylko 76.000 ton, jednak **„Queen Mary" jest dłuższa,** mając 306 metrów, gdy „Normandie" tylko 296 m. Następnie idą: **„Majestic"** Linji Cunarda z 51.062, **„Bremen"** z 51.656, **„Rex"** z 51.062. **„Berengaria"** z 51.062, **„Europa"** z 49.746. **„Leviathan"** z 48.502, **„Aquitania"** z 45.647, **„Ile de France"** z 43.450, **„Empress of Britain"** z 42.348. Gdy porównamy te cyfry z „Britanją", która poraz pierwszy w r. 1840 w dniu 4 lipca przepłynęła Atlantyk, zobaczymy, jak olbrzymi postęp ogarnął budownictwo okrętów. **„Britanja" miała 86 m. długości, obecny „Queen Mary" ma 306 metrów!** „Britanja" była o 1.154 ton, „Queen Mary" — 76.000 ton. Siła motorów wynosi 740 koni parowych na „Britanji", a „Queen Mary" — 200.000! „Queen Mary" waży 70 razy więcej jak **„Britanja".** I to jest sprawdzianem tego olbrzymiego skoku w ciągu 100 lat!

—ooo—

Chińskie latawce.



Z nastaniem wiosny młodzież chińska i japońska zabawia się puszczaniem latawców. Zabawa ta jest niezmiernie popularna na Dalekim Wschodzie. Na uwagę zasługuje rozpiętość latawców i pomysłowość w doborze barw, deseni i kształtów. Często bywają tam urządzane konkursy pomysłowości, w których biorą udział gromadny i starsi, poważni obywatele.

ŻYCIE RELIGIJNE.

Liturgja Niedzieli Zmartwychwstania

Potężne dzieło Dostojewskiego „Wina i kara" jest jakby powieściowem udramatyzowaniem złudnego nietscheańskiego mitu o nadczłowieku. Raskolnikow, młody bohater powieści, piastuje w głębi duszy, rozkołysanej chorobliwą wrażliwością koncepcje człowieka, zdążającego, o własnych, tylko ludzkich, siłach do szczytów nadczłowieczeństwa, bóstwa. Dostojewski wykazuje na Raskolnikowie, dokąd taka manja prowadzi. Raskolnikow nie pozostaje w sferze czystej teorji: pod jej wpływem wylęga się w tej zatrutej i przerafinowanej psychice myśl zgładzenia pewnej starej przekupki i lichwiarki z brudnej dzielnicy. Petersburga. Ma to być sprawdzianem, czy taki wypadek, jak śmierć nędznej osoby może w czemkolwiek zaciążyć na życiu Raskolnikowa, terminującego na nadczłowieka: „Qui vent faire l'ange, fait la bête". Raskolnikow zupełnie na zimno dokonuje zbrodni, ale jednocześnie traci stawkę gry. Napróżno stara się zbanalizować, przed sobą samym, cały ten potworny fakt: zbrodnia, jakby przez transfuzję, wnika we wszystkie zakamarki jego myśli i serca, ciąży granitową opoką, nie zostawia go na chwilę w spokoju. Raskolnikow traci coraz bardziej panowanie nad sobą. Nie chce się zdecydować na ten skok śmiertelny, który byłby strzaskaniem do reszty jego mitu o nadczłowieku, jego czysto ludzkiego, osobistego „logosu". Jest w sytuacji bez wyjścia. Dopiero Sonia upadła dziewczyna, ale zachowująca wewnętrznie jasnowidzenie moralnego sądu (Raskolnikow ma dla niej uczucie tkliwego i delikatnego przywiązania) wyrywa go z impasu samoułudy i pychy i każe mu, przez wyznanie na placu publicznym swej zbrodni, oddać się sprawiedliwości i zmazać przez karę swoją przewinę. Raskolnikow, skazany na katorgę, idzie na Syberję w towarzystwie Soni. Ale idzie już inny. Wziął na siebie dobrowolnie karę, wypalił już częściowo w sobie fibry starego człowieka, ukrzyżował swoje ludzkie samowolne „ja" i poprzez męki i cierpienia zdąża ku swemu odrodzeniu, ku nowemu, Chrystusowemu życiu, ku swemu zmartwychwstaniu, swemu „alleluja".

I tak jest często z ludźmi! Pozostawiona samej sobie natura prowadzi nas powolnie, ale nieubłaganie w sytuację bez wyjścia. Rozdźwięk między wyznaczonym nam celem, a naszemi własnemi siłami wyrównuje dopiero Chrystus... On to wykupił nas z niewoli naszych słabości, On dźwiga i nadal całą ludzkość i każdego z nas, ciągle i bezustannie wyrywając nas z mauriakowskiego bagna zmącenia, czy uśpienia. I to przypomina nam Niedziela Zmartwychwstania, pamiątka faktu, którego wielkości nie jesteśmy nigdy w stanie dostatecznie pojąć, chociaż jest to fakt, który obchodzić nas musi, i właśnie nas — w najwyższej mierze. Kiedy wymawiamy lub śpiewamy z kapłanem słowa: „Resurexit, sicut dixit! alleluia!" — wymawiamy je jednocześnie dla siebie, dla naszej duszy, dla naszego życia, bo z Chrystusem jedno stanowimy, bo Jego zasługi naszą są własnością. To też uroczystość Zmartwychwstania była zawsze w społeczności Kościoła uroczystością zbiorowej i osobistej radości i dziękczynienia. Św. Grzegorz Wielki nazywa tę niedzielę „nobilitas solemnitatis", świętem świąt — świętem nadewszystko. „Haec est dies!"

Bardziej jeszcze niż Boże Narodzenie jest Chrystusowe Zmartwychwstanie pobudką do radości, może tylko więcej poważnej: „exultemus et laetemur!" Dzieło Zmartwychwstania nosi w sobie treść potrójnego symbolu: w przeszłości oznacza ono zwycięstwo Chrystusa nad śmiercią własnego ciała, jako Człowieka, — obecnie unaocznia przejście ze stanu śmierci do życia łaski wszystkich nas wiernych — wreszcie w przyszłości jest zapowiedzią ostatecznego Sądu i zmartwychwstania do szczęśliwości z Bogiem dla jednych — a potępienia wiekuistego dla drugich. W średniowieczu przy spotykaniu się oznajmiano sobie dobrą nowinę temi słowy radości: „zmartwychwstał — alleluja!" i wymieniano pocałunek wzajemnej miłości. Mszę tej Wielkiej Niedzieli upiększały procesje, dialogi: miało to wyrażać pragnienie odnalezienia „alleluja" pogrzebanego na cały czas postu. Niekiedy celebrujący kapłan wstępował do zagłębienia, symbolizującego grób i był wyprowadzany procesjonalnie do ołtarza. Msza niedzieli Zmartwychwstania Pańskiego jest Mszą uprzywilejowaną w szatach białych. — Teksty Mszy są proste, krótkie; sam fakt Zmartwychwstania jest w niej najwymowniejszych i najpełniejszym motywem. W Introicie Chrystus zwraca się do Boga-Ojca, by głosić swe zmartwychwstanie. Jego to głos najpierw daje się słyszeć, bo On pierwszy powstał z martwych. Słowami psalmu: „Domine probasti me..." uwielbiona jest nieskończona moc i mądrość Wiekuistego. W Kolekcie znów spotykamy się z tą myślą zwycięstwa Syna Bożego nad śmiercią i z nadzieją życia wiecznego odkupionego nam przez Chrystusa. Lekcja zawierająca wyjątek z listu św. Pawła do Koryntjan wskazuje na potrzebę pracy oczyszczenia wewnętrznego. Potrzeba, byśmy uprzątnęli w sobie „stary kwas". Mamy się miłować w „przaśnikach" szczerości i prawdy. Gradual uderza w wysokie tony: „haec est dies!"... Słowa te powtarzać się będą przez całą oktawę. Sekwencja: „Victimae paschali laudes..." ma pochodzić z XI wieku, jako szczątek religijnego dramatu. Ewangelja podaje krótko wielki fakt Zmartwychwstania. Komunja jest godnem ukoronowaniem nabożeństwa. Chrystus ofiarował się już raz jako Baranek Boży — Pascha — ofiaruje się nadal codzień, byśmy Go pożywali.

Po skończonem nabożeństwie, wracając do domu, trwamy w nastroju uroczystej radości i wesela, rok za rokiem widząc coraz lepiej, że kiedy przyjdzie na nas godzina rozłąki z tym światem, odejdziemy — ufni w owoce Męki i Zmartwychwstania — do Tego, który „życie" swe za przyjaciół dał", aby życie wieczne i nader obfite mieli, — do Tego, który przez swe Zmartwychwstanie „wespół posadził nas w niebiesiech".

esjot.

Życie duchowe

pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Stan. Brzozowski trafnie napisał: „Każda kultura powstała jako metoda przeobrażania duszy jednostek w ten sposób, by stały się one zdolne do wykonywania pewnych przez naturę społecznego procesu danych czynności". U podstawy każdej kultury, która w pierwszym rzędzie obejmuje istotnie zjawiska psychiczne, leży jakaś wielka myśl, idea która jest jej kośćcem, ale jest i jej krwią, ciepłem, wewnętrznym oddechem. Jesteśmy w XX. wieku chrześcijaństwa, żyjemy pod sklepieniami tego olbrzymiego gmachu kultury Kościoła, którego duchowem powietrzem oddychamy, ale niejednokrotnie nie zdajemy sobie sprawy czy też nie chcemy sobie zdać sprawy ze źródeł, czy z następujących po sobie procesów, które gmach ten wydźwignęły. Zatracenie zmysłu ciągłości i solidarności jest już odrywaniem się od pnia wspólnoty, który zasilał, czy zasila jeszcze w pewnej mierze swemi sokami nasze życie. Jeśli chcemy być kontynuatorami, współtwórcami ciągle żywej i płodnej kultury, musimy poznać cały jej zasięg historycznie powstający i sens kierujących nią linji rozwojowych. Jeśli tak jest, to nie bez racji dają się słyszeć głosy i wezwania, byśmy się zbliżyli do źródeł pierwotnego chrześcijaństwa, byśmy poznali bijące z nich siły duchowe, zasilające to męczeńskie życie ówczesnych chrześcijan, którego styl dotąd nam imponuje.

Prac zapoznających nas z okresem pierwszych wieków nie brak, zwłaszcza w literaturze niemieckiej, czy francuskiej. Naturalnie są prace pisane pod różnym kątem widzenia. Nie tak dawno wydała paryska księgarnia katolicka Blond et Gay, w serji krótkich, treściwych i na wysokim poziomie pisanych dzieł religijnych dla świeckich (Bibliotèque des sciences religieuses) książeczkę pod tytułem: „Życie duchowe pierwszych wieków chrześcijaństwa" (La spiritualitè des premiers siècles chrètiens). Napisał ją. M. Viller, wytrawny znawca tego okresu i piszący piękną zrównoważoną prozą! Uwzględniona przez niego przestrzeń czasu obejmuje siedm pierwszych wieków. Chrześcijaństwo koncentruje się początkowo przeważnie na wschodzie, w Egipcie i Małej Azji. Ogniskami jego są głównie: Antiochja, Aleksandrja, Konstantynopol. Pod koniec czwartego wieku oś tej intensywnej kultury przesuwa się już więcej i na Zachód.

Autor za punkt wyjścia przyjmuje dokumenty I-go wieku, które zawierają raz na zawsze właściwą substancję chrześcijaństwa, — tworzą wiecznie płodną glebę, z którego wyrosło i w której bierze swój pokarm wielkie już dziś drzewo Kościoła. Są to głównie księgi „Dobrej Nowiny" trzy Ewangelje synoptyczne, Ewangelja św. Jana oraz listy Św. Pawła. Określiwszy krótko, ale bardzo trafnie to, co stanowi fundamentalną prawdę tych ksiąg pod względem ich duchowej doktryny przechodzi z kolei do omówienia tych różnych form oddziaływania Ewangelji na życie, jakie się stopniowo w następnych wiekach rozwinęły.

Pierwsze miejsce zajmuje tu męczeństwo, najdoskonalsza forma naśladowania Chrystusa. Śliczne o duchu męczeństwa listy pozostawił nam Św. Ignacy z Antjochji, gdzie był biskupem. Pisarz w drodze wiodącej do męczeństwa, płonie żarem niezachwianej wiary i pragnieniem połączenia się corychlej z Chrystusem. O męczeństwie piszą jeszcze i Św. Polykarp i Tertulian i Św. Cyprjan i Orygenes.

Druga forma duchowej doskonałości to dziewictwo; od początku uchodzi ono za doskonałość. Wymienieni poprzednio pisarze obficie o niem piszą, dają wskazówki, analizują jego wartości i niebezpieczeństwa. Osoby żyjące w tym stanie przebywały osobno: później jednak zwłaszcza kobiety zaczęły się łączyć w grupki, mniej lub więcej liczne i to daje z czasem początek życiu zakonnemu, ale bez reguły jeszcze.

Życie zakonne zainicjował właściwie dopiero Św. Antoni Pustelnik. Piękny życiorys, wzór przyszłych żywotów świętych, zostawił nam o nim Św. Atanazy. Postać to bardzo ciekawa: początkowo żyje na pustyni, w okolicach Nilu, później przenosi się nad Morze Czerwone, by uniknąć odwiedzin natrętów. Jego życiorys zawiera jednocześnie całą naukę duchową, jakiej udzielał łudnie z nim żyjącym uczniom. W Egipcie rozwinęła się po nim forma duchowego zespołowego doskonalenia się tzw. cenobitów. Ale przejdźmy do Kappadocji (Mała Azja), gdzie w IV. wieku napotykamy wielkie postacie, myślicieli i równocześnie ascetów: Św. Bazylego (właściwego zakonodawcę wschodniego), Św. Grzegorza z Nissy, Św. Grzegorza Nazyanzu. Z późniejszym nieco św. Janem Chryzostomem stanowią oni przez swe znakomite i subtelne pisma źródło naprawdę czarownych upojeń. Kard. Newman żyjący w XIX. w. obcowanie z ich dziełami nazywał czarodziejską muzyką. Jeśli pominiemy ruch zakonny, bogaty i ciekawy w Palestynie, na górze Synaj i przerzucimy się na zachód Europy (jesteśmy już na początku V. wieku), to wysuną się nam imiona Św. Marcina z Tours i Św. Hieronima, jako gorliwych propagatorów życia zakonnego. Prawie równocześnie natrafiamy na bogatą wzniosłe postacie i oryginalne dzieła, szkołę zakonną na wyspie Lerins. Tym jednak, który jest naprawdę pierwszym wielkim zakonodawcą na Zachodzie, to Św. Benedykt, założyciel zakonu benedyktyńskiego, mającego w średniowieczu odegrać tak wybitną rolę swemi różnorakiemi pracami umysłowemi aktywną propagandą kultu liturgicznego. Reguła Św. Benedykta jest regułą wielkiej prostoty, zrównoważenia i szczerej mądrości duchowej. Późniejsze już wieki odsłoniły nam coraz bogatsze prądy duchowej kultury w pismach mistycznych Diadoka, Areopagity (spór o to nazwisko jeszcze prawie dotąd trwa), Św. Maksyma wyznawcy na Wschodzie — na Zachodzie zaś w potężnych, nabrzmiałych głęboką filozofją i teologją, dziełach Św. Augustyna, biskupa Hippony, którego postać ostatnie lata wielce nam zbliżyły i w niemniej cenionych w Średniowieczu dziełach Św. Grzegorza.

Osobny rozdział w książce poświęcony jest omówieniu kultury duchowej wśród świeckich. Czytamy tu rozkoszne legendy o Św. Pafnucym, porównywującym co pewien czas zasługi swego życia pustelniczego z zasługami osób żyjących w świecie, — piękne listy duchowne do poszczególnych osób, wśród których znakomite i wymowne listy Św. Jana Chryzostoma wzywające świeckich do doskonałego życia w świecie. (Przypomnijmy sobie klasyczną, ale grubo późniejszą książkę Św. Franciszka Salezego „Filotee"). Pod popiołem tych odległych wieków odkrylibyśmy jeszcze te różne praktyki i dewocje religijne, któremi dotąd żyjemy, czy to będą różne formy modlitw prywatnych i liturgicznych, czy głębokie i wzruszające wyrazy uczuć dla Krzyża Św., dla Imienia Jezus, dla Najśw. Marji Panny, dla Świętych. Ze wstydem dowiadujemy się, że świeccy uczęszczali dość często na zamknięte rekolekcje duchowne — ot i to nie trzydniowe, ale czterdziestodniowe! Jesteśmy u kresu to go nazbyt suchego — z żalem to stwierdzamy — i sumarycznego rejestru nazwisk. Nie był on w stanie, naturalnie, odsłonić nam tego bogatego chóru głosów prarojców i duchowych przodków naszych, należących do tego samego Kościoła powszechnego — nie był w stanie uwypuklić tej gorącej soczystości tworów wznoszonej przez nich kultury — nie mógł uplastycznić narastania i krzyżowania się prądów. Ale może do jednego się przyczyni. Może ktoś z katolików szukających prawdziwej aktualności weźmie do ręko dzieło tego, czy innego pisarza z tego okresu. Ryzyko takie, które nie jest — śmiemy to twierdzić — żadnem, ryzykiem, sowicie się opłaci.

J. S.

Z OBCEJ NIWY.

Kard. Newman o Wielkiej Nocy.

Wielki filozof katolicki, Kardynał J. H. Newman, w kazaniu na Wielkanoc (Difficulty of realising sacred privileges) mówił:

„W tym dniu Bóg dokonał wielkiego dzieła. Myślmy o tem dziele i o Jego twórcy. Bądźmy w tym dniu pełni radości i pełni dobrej woli. Dzisiaj mamy dzień Wielkiej Nocy — powtarzajmy to sobie bez ustanku z bojaźnią, ale i z radością wielką. Tak jak mówią sobie dzieci: „oto jest wiosna", „oto jest morze", starając się uchwycić ideję wiosny czy morza, i nie zgubić jej: czy jak mówią podróżnicy w obcym kraju: „przed nami mamy wielkie miasto", czy „sławny posąg", wiedząc, że ma on za sobą długą historję ciągnącą się poprzez wieki i niezadowoleni, że tak źle ją znają. Podobnie i my powiedzmy sobie: oto dzień dni — dzień królewski, — dzień Pana, — dzień, w którym Chrystus wstał z martwych, — dzień, w którym przyniósł nam zbawienie. Jestto dzień, który uczynił nas większym, niż my o tem wiemy. Jestto nasz dzień spoczynku, prawdziwy sabbat. Chrystus oddał się spoczynkowi i my także. Prowadzi nas, symbolicznie, poprzez grób i bramę śmierci do miejsca ochłody. Dosyć mieliśmy zmęczenia, smutku, niestałości, zgryzoty i wyrzutów. Dosyć już znosiliśmy ten świat naprzykrzający się nam. Dosyć już mamy jego hałasu i huku. Hałas, to jego najlepsza muzyka. Teraz już jednak spokój: ale spokój, który mówi. Wiemy, jak dziwnem jest wrażenie doskonałego milczenia po nieprzerwanym hałasie. Taką jest obecnie nasza szczęśliwość. Zaczęły się dni spokojne i jasne. Słyszy się Chrystusa i Jego głos jeszcze słaby, bo świat mówi. Ogołoćmy się ze świata, a przyobleczmy się w Chrystusa. Oddalić się od jednego, to znaczy — zbliżyć się do drugiego. Za sobą mamy już tygodnie, w których robiliśmy wysiłki, by wyzuć się z naszych potrzeb i pragnień światowych. Niechaj to wyzucie będzie dla nas przyobleczeniem się w niewidzialne i niezniszczalne rzeczy. Wzrastajmy w łasce i poznaniu Pana naszego i Zbawiciela, z okresu na okres z roku na rok, aż On sam do siebie pociągnie najpierw tego, później tamtego, oddzielając jednych od drugich na jakiś czas, aby nas złączyć na wieczność w Królestwie Jego Ojca i naszego Ojca, Jego Boga i naszego Boga".

